

# po prostu

Przyjemnego odpoczynku świątecznego życzymy  
wszystkim naszym Korespondentom i Czytelnikom  
REDAKCJA

Nr 42-43 (351-352)

18-25. XII. 1955

Cena 70 gr

## TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

Prof. dr JÓZEF CHAŁASIŃSKI  
członek rzeczywisty PAN

### O światowej opinii moralnej

**G**eograf Jean Malaure wracał z badań na Arktyku, gdy Eskimosi spod Thulé poinformowali go, że setki Amerykanów zleciały z nieba i przywieźli ze sobą bombę atomową. Zatrzymał się wtedy w osadzie dla dalszych badań nad procesami przystosowania się Eskimosów do nowej cywilizacji. Wyniki tych badań przedstawił w książce *Les derniers rois de Thulé* (1954).

Na terenach niewielkiej osady eskimoskiej położonej pod Thulé na Grenlandii Amerykanie w lipcu 1951 roku rozpoczęli budowę wojennej stacji atomowej. Osada licząca 300 osób, jedno z ostatnich autentycznych plemion eskimoskich, niekiedy jeszcze przez cywilizację, przechodziła od razu od ery foki do ery atomowej.

Eskimosów z tej okolicy znamy choćby z pięknej książki Peter Freuchena *Przygody na Arktyku*, wznawianej także po wojnie w 1948 r. Ich wysoki poziom uświadomienia, ich gościnność i przyjaźliwość, zupełny brak tradycji wojennych, ich „komunistyczna moralność” wzbudzały od dawna wielkie zainteresowania wśród pisarzy i socjologów interesujących się zagadnieniami społeczno-moralnej ewolucji ludzkości. Wymienione cechy ich kultury społeczno-moralnej występują bowiem przy bardzo prymitywnej organizacji. Nie mają organizacji rodowej, ani plemiennej. Rodzaj społeczeństwa, w jakim żyją, zwykło się określać w etnologii jako hordę t. j. skupienie rodzin bez stałej instytucji wodzostwa. Namiastką „wodza” jest najlepszy myśliwy, wyróżniający się sprawnością fizyczną i doświadczeniem, dochodzący do

autorytetu w drodze samorządnego uznania zbiorowości. Obok wspomnianego już wysokiego poziomu społeczeństwa Eskimosów, w kulturze ich podnosi się niezmiernie bystrą inteligencję praktyczną — techniczną przy bardzo prymitywnej materialnej podstawie życia, jaką jest łowiectwo morskie lub lądowe w bezludnych terenach tundry.

W tych warunkach Eskimos wytworzył sobie filozofię życia, z którą warto się zapoznać. Pochodzenie swoje wywodzi on od foki, swój kraj uważa za najpiękniejszy i najlepszy.

Eskimos, który jest wyjątkowo ludzką i sympatyczną odmianą homo sapiens, zamknięty jest w sferze pojęć społeczeństwa przedklasowego, nie rozumie ani teorii ewolucji, ani walki klas. Dobrodziejstwa postępu wyobraża sobie jako lepsze wyposażenie igloo w garnki, krzesła i wiadra oraz znaczne zwiększenie liczby fok i morsów, które stanowią podstawę jego ekonomii. Przywiązuje ogromną wagę do tego, aby polowanie zachowało swą tradycyjną postać, aby w szczególności pierwszy myśliwy, to jest ten, który trafi zwierzę harpunem, otrzymywał, jak dotychczas, głowę, lewą łapę, wnętrzności, a nade wszystko serce, a wszyscy inni łowcy — inne części odpowiednio do ich udziału w polowaniu. Pierwszy myśliwy jest bowiem w osadzie człowiekiem wybitnym i wpływowym. On wstaje z rana pierwszy, pierwszy jest na łodzi, on ustala plan wypraw łowieckich.

Eskimos nie potrafi sobie wyobrazić, jak bez łowiectwa można by sądzić o wartości człowieka. Jakkolwiek wśród Eskimosów więź rodzinna jest bardzo silna i nacechowana wzajemną sympatią i szacunkiem oraz przywiązaniem do dzieci, to jednocześnie występuje zwyczaj wy-

pożyczania żon między zaprzyjaźnionymi myśliwcami. Uważa się, że myśliwy okazujący nadmierne przywiązanie do jednej kobiety, uraża foki, które nie życzą sobie, aby polowały na nie tego rodzaju niższe istoty, jak mężczyzna zakochany w jednej kobiecie.

We wspomnianej książce Malaurego znajduje się rysunek wykonany przez Eskimosa, przedstawiający obraz naszej cywilizacji. Na obraz ten składa się dom, stół, krzesła, zegar, wiadro i inne szczegóły urządzenia domu — domu, w którym się koncentruje cały świat kultury Eskimosa.

Ubolewano nieraz nad tym, jak cywilizacja białych niosąca nową technikę, zastępującą łuk i harpun przez broń palną, dezorganizowała nie tylko tradycyjne łowiectwo eskimoskie, lecz cały oparty na nim system kultury. Eskimosi, jak Indianie A. P., jak w ogóle ludy pierwotne z reguły w kontaktach z nowoczesną cywilizacją ulegały rozkładowi i wyniszczeniu. Społeczeństwa i kultury pierwotne rozwinięte w przystosowaniu do przyrody nie dawały sobie rady z opanowaniem gwałtownych zmian, jakie wnosila w ich stosunki nowoczesna technika społeczeństw cywilizowanych. Wspomniana osada spod Thulé uchylała się od dobrodziejstw cywilizacji atomowej i przeniosła się na nowe tereny — bardziej na północ.

Zastanawiam się, czy wobec oszołamiących technicznych perspektyw ery atomowej oraz jej konsekwencji dla przyszłego społeczeństwa i kultury człowiek współczesny nie jest w podobnej sytuacji, w jakiej znajdował się Eskimos wobec nowoczesnej cywilizacji, której nie rozumiał. Obecnie trudno nam sobie wyobrazić wszystkie konsekwencje

(Dokończenie na str. 10)



KAJETAN SOSNOWSKI

Noc księżycowa

MARIAN BOGUSZ

## DYSKUSJA — CZY BEŁKOT...

ARNOLD SŁUCKI

### Do Czytelnika

Kiedys z tobą się spotkam  
w drodze gdzieś, czy w zajeździe,  
albo w metrze na schodkach  
w jeszcze nieznanym mieście.

Poznasz mnie po siwiźnie,  
po jej złotawym odcieniu,  
żem twój rodak i bliźni —  
i nazwiesz mnie po imieniu.

Spytasz, z kim byłem za młodu,  
czy z tymi, co z szarfą na piersi  
szli na czele pochodu  
zawsze widoczni i pierwsi,

czy z tymi, co zwykłym trybem  
szli, powłóczyli na końcu.  
I dobijali do trybun  
w dogasającym słońcu...

Odpowiem: siedłem na czele,  
a serce me biło z Ojczyzną,  
ta, co miotłami sprzątać  
pędziła nas w dal komunizmu.

**J**ako malarz z radością stwierdzam ożywienie naszego życia plastycznego i pilnie śledzę wszelkie publiczne dyskusje i polemiki plastyczne toczące na łamach prasy. Sprawa naszej sztuki, sztuki nie tylko powstającej w dobie budowy socjalizmu, ale mającej się w pewien sposób przyczynić do ukształtowania nowego człowieka, jest niewątpliwie sprawą b. poważną, a co za tym idzie godną przemyslanego i odpowiedzialnego podejścia do niej. Dlatego wydaje mi się, że ludzie zabierający publicznie głos w tej sprawie, a przede wszystkim malarze, winni doceniać różne aspekty sporu o nową sztukę. Głównym celem dyskusji o plastyce jest wytyczenie dalszych dróg rozwojowych. Jest to bez wątpienia cel wielki i słuszny, ale droga do niego nie jest ani bliska ani łatwa, a to głównie dlatego że w walce o nową sztukę zaangażowani są jedynie twórcy i to, powiedzmy sobie szczerze, nie wszyscy twórcy. Społeczeństwo, dla którego chcemy tworzyć, ciągle jeszcze jest biernym obserwatorem naszych wysiłków i nie angażuje się po żadnej stronie. Wydaje się, że komu jak komu ale nam malarzom winno zależeć na pozyskaniu masowego odbiorcy naszej twórczości, na podniesieniu poziomu jego uczulenia plastycznego, bo to gwarantuje naszą przydatność społeczną i sens naszej pracy. Narzekamy na osamotnienie, przewidujemy zmierzch malarstwa sztalugowego, ale nie przeciwdziałamy złu we właściwy sposób. Bagatelizujemy dydaktyczną stronę toczącej się dyskusji o plastyce, zapominamy, że każda wypowiedź mogłaby stanowić materiał poznawczy, dla tych wszystkich, którzy się nie zrażają, ale którzy, jak to zostało postawione w „Zachęcie”, pragną się uczyć „czytać” obrazy, chcą wiedzieć co dobre a co złe i dlaczego.

Klasycznym przykładem lekceważenia dydaktycznej strony wszelkich publicznych rozważań o pla-

styce była dyskusja na VI Okręgowej Wystawie Plastyki w „Zachęcie” mimo „gorącej” dosłownie i w przenośni atmosfery w jakiej się toczyła. Podobny zarzut można postawić dyskusji w Klubie Literatów, zorganizowanej z okazji wystawy prac Henryka Stażewskiego w tym lokalu. W „Zachęcie” było kilkaset osób, w Klubie Literatów kilkadziesiąt. Wszyscy, którzy widzą sens bezpośrednich kontaktów twórców: odbiorcami, zgodzą się, że straciliśmy dwie okazje. Może jednak nie byłoby warto wszczynać alarmu w tej sprawie gdyby to były jedyne nie wykorzystane możliwości naszego wpływu na podniesienie poziomu plastycznego polskiego odbiorcy dzieł sztuki. Gorzej, że większość wypowiedzi w sprawach plastycznych zamieszczanych na łamach prasy nasuwa podobne zastrzeżenia, bo w znikomym tylko stopniu przyczynia się do rozszerzenia zasobu ogólnej wiedzy o malarstwie.

Potwierdzeniem tych spostrzeżeń jest artykuł Jerzego Cwiertni pt. „Sztuka — czy bełkot pustej dyskusji” drukowany w nr 40 PO PROSTU, podejmujący nie tylko niewłaściwy ton pewnych dyskusji, ale i o co mi głównie chodzi, nierzeciwą, niepoważną polemikę na poważne tematy.

Cenię szczerość i odwagę wypowiedzianą własnych przekonań Jerzego Cwiertni. Wiem, że w walce nowego ze starym musi dojść do gwałtownych starć. Jestem za ostrą krytyką i nie zamierzam zasypywać ognia piaskiem. Ale właśnie dlatego, że J. Cwiertnia deklaruje się wyraźnie po stronie postępu, że dostrzega konieczność walki o nową sztukę, mam do jego wypowiedzi poważne zastrzeżenia. Żądam od J. Cwiertni jak od towarzysza walki by nie strzelał ze ślepek. Bo czy określenie „w baliach z kolorowymi mydlinami” wyjaśni komukolwiek wsteczność naszego postimpresjonizmu? Czy analizę obrazów Bielskiej-Tworkowskiej można sprowadzić do zdawkowej wypowiedzi „żywem wzięty z prowincjonalnego saloniku portret”? Czy słowo

„kicz” wytłumaczy przeciętnemu widzowi z „Zachęty”, przyzwyczajonemu do tego rodzaju obrazów, wszystkie pomyłki i niedostatków w sztuce socjalistycznej. Czy niebezpieczeństwo kontynuacji hermetycznej zamkniętej warsztatu prof. Eibischa można skwitować powiedzeniem „realizuje receptę mistrza na mdłości”? Czy malarstwo Walickiej, Krycha, Steca, Poznańskiego i wielu innych można sprowadzić do jednego mianownika — „falsz”?

Wydaje mi się, że J. Cwiertnia chce kontynuować naszą publicystykę plastyczną z epoki kamiennej, w której bełkot wystarczał dla określenia twórczości a czyni to w imię walki o sztukę socjalistyczną. Pytam J. Cwiertnię czy wzorem błędów mechanicznie i naiwnie pojętego socrealizmu, który dzielił całe malarstwo na realistyczne, do okresu impresjonizmu i formalistyczne po impresjonizmie, mam w naszej publicystyce plastycznej wykreślić wszelkie próby rzeczowej krytyki? Czy rezygnujemy z wniosków określeń Witkacego, z niemal matematycznej ścisłości wypowiedzi Leona Chwistka, z jasności precyzowania zadań malarstwa Andrzeja Pronaszkę, poetyczności wyduńczeń Tytusa Czyżewskiego, sugestywności sformułowań Jerzego Wolfa a przede wszystkim z logiki i mądrości myślenia Władysława Strzemińskiego?

Czy rezygnujemy ze wszystkich dotychczasowych osiągnięć polskiej myśli plastycznej i w dyskusji o malarstwie mamy mówić językiem naszych pradziadków? Czy będziemy ograniczać się do pohukiwania, a unikać rzeczowej analizy zasadniczych zjawisk plastycznych i wyciągania wniosków?

Jako malarz osobiście zaangażowany nie tylko w walce o nową sztukę, ale i o nowego szerokiego odbiorcę tej sztuki, żądam od wszystkich, którzy się deklarują walczyć, rzetelnego wysiłku, logicznych argumentów, które nie ośmieszają ale zdyskwalifikują przeciwników postępu w sztuce. Łatwość nie jest typową cechą współczesności,

Ludzie myślą, ludzie są skłonni wierzyć, ale chcą wiedzieć dlaczego mają wierzyć.

Dlatego prace malarskie jeszcze „wczoraj” uznawane i nagradzane dziś uważamy za złe? Czy tylko dlatego, że się nam osobiście nie podobają? Czy to jest sprawa gustu, czy może istnieją w rozwoju sztuki jakieś obiektywne jego kryteria?

Zarliwość naszych wypowiedzi nie zdziwiła wiele jeśli nie potrafimy ich uzasadnić rzeczowymi argumentami.

\*

Niepokoi mnie tzw. „odwilż”. Samo pojęcie dobre jak wiele innych, rzecz w tym co się za nim kryje, jak jest interpretowane w niektórych kołach plastyków. Jedni uważają, że wszystko wolno, mówią o szerokim wachlarzu itp. — słowem liberalizm, inni pojmują je jako powrót na pozycje plastyczne z lat 1948/49. A więc tak czy inaczej koniec walki o sztukę ideową, nareszcie spokój i wilegiatura. Socrealizm został skompromitowany. W tej sytuacji nie od rzeczy będzie zastanowić się co właściwie zostało skompromitowane i jak wygląda aktualna sytuacja plastyki w naszym kraju. Uważam, że skompromitowane zostały tylko pewne metody administrowania sztuką i pewne propozycje malarskie, streszczające się w zasadzie do ilustrowania życia współczesnego i faktów historycznych przy użyciu kiepskiego warsztatu realizmu dziewiętnastowiecznego. Czy to złe? Moim zdaniem b. dobrane. A skoro dobrze to nie może być mowy o klęsce, o zaprzestaniu walki. Sądzę, że właściwa walka o współczesne malarstwo polskie dopiero teraz rozgorzeje. Nie zmieniliśmy naszych przekonań, wprost przeciwnie, utwierdził się w ich słuszności. Wstępujemy w szranki bardziej doświadczeni, głębiej pojmujący ideę socjalizmu i cele malarstwa naszej doby. A więc nie zmiana przekonań lecz ich pogłębienie. Ostrzejsze widzenie idei oraz głębsze i współczesniejsze spojrzenie na realizację plastyczne tej idei — czyli walka o malar-

(Dokończenie na str. 9)

# METAMORFOZA

Kramik

**W**toczających się obecnie na łamach prasy francuskiej dyskusjach poświęconych tworzeniu się ogólnonarodowego ugrupowania sił lewicowych, wiele miejsca zajmują problemy francuskiej partii socjalistycznej, SFIO. Ale jakkolwiek różni ludzie piszą o SFIO, poglądy ich są na ogół zbieżne, dlatego też jako przykład typowy może być przytoczona ocena tej partii zamieszczona przez znanego francuskiego publicystę Maurice'a Duverger, w Sarrtrowskim miesięczniku „Les Temps Modernes”.

„Prawda jest, że SFIO zbliża się, że staje się ona coraz bardziej konserwatywna, że niektórzy z jej przywódców są skorumpowani, niedolni, lub posiadają obłe te cechy łącznie; prawdą jest, że nie posiada ona ani doktryny, ani programu, że jej wpływy maleją, że nie może ona więcej odnawiać swych kadr i że młodzi wyborcy odwracają się od niej”.

Jednakże ta prawda o SFIO nie dotarła jeszcze we Francji do wszystkich. Przede wszystkim nie dotarła ona do przywódców partii. Ostatnio sekretarz generalny SFIO, Guy Mollet, oświadczając, że najlepszym sojusznikiem dla socjalistów byłby Mendes-France i sojusznikiem tym obecnie rzeczywiście stał się on. Jak widać głęboka prawda kryła się w słowach Duvergera, gdy pisał on w maju: „Odmawiając wszelkiego kontaktu z komunistami pod pretekstem, że odnoszą oni korzyść ze wszystkich kontaktów, że mają oni zawsze ostatnie słowo w dyskusjach, takie jest obecnie w przybliżeniu stanowisko SFIO. Jest to dowodem niemocy i przyznaniem wyższości komunistom. Silna SFIO — nie obawiała się dialogów z partią komunistyczną, przeciwnie, poszukiwała ich, nieczym ci święci ze złotej legendy, którzy nie obawiali się dyskusji z demonem ponieważ pewni byli swojej wiary i swej religii”.

„Trudno jednak wymagać od Guy Molleta by był pewny swojej wiary i swojej religii”. Znajdują się one bowiem w bardzo klepskim stanie. Najlepszym tego dowodem jest „Wezwanie do przywódców i działaczy partii socjalistycznej” opublikowane przez Pierre Bonnela w październikowym numerze „La Révue Socialiste”. Fakt opublikowania artykułu na łamach tego organu nie świadczy bynajmniej o solidaryzowaniu się kierownictwa SFIO z treścią insertu. Jest jednak zjawiskiem bardzo wymownym, gdy na łamach pisma o takim charakterze można znaleźć następującą charakterystykę oficjalnej doktryny partyjnej — socjalizmu demokratycznego:

„W rzeczywistości — pisze Pierre Bonnel — na gruncie często źle opracowanego antykomunizmu, socjalizm demokratyczny stał się nie-

spójnym zespołem niesprecyzowanych idei, budujących sentymentów i nieusprawiedliwionych nadziei. Można w nim znaleźć, przemieszane w zależności od osoby mówcy, marksizm, platonizm, antymilitaryzm, laicyzm, rousseauizm, indywidualizm, scientyzm, antykolonializm, reformizm, wezwania do rewolucji, odsyłające do „idei nieśmiertelnych”, wiarę w Postęp, komunizm, idealizm moralny, realizm „naukowy”, kolektywizm i liberalizm”.

Gdyby siła atrakcyjna doktryn partyjnych uzależniona była od braku w nich logiki wewnętrznej i od ilości mieszczących się w nich „izmów”, SFIO miałaby absolutną większość w Zgromadzeniu Narodowym. Niestety tak nie jest. Nie więc dziwnego, że Pierre Bonnel wziął na swe barki ambitne zadanie: ujawnienie zła trapiącego partię socjalistyczną i pokazanie go całemu światu. Warto więc chyba wyruszyć wraz z nim na poszukiwanie przyczyn doktrynalnej bezpłodności socjalizmu demokratycznego.

„W praktyce — powiada nasz autor — przełamamy jednych ponieważ nadal mówimy o sobie, że jesteśmy „rewolucjonistami”, nie wyjaśniając co rozumiemy przez rewolucję, innym zaś wydajemy się podлыми oportunistami, tak rzucia im się w oczy rozbrat między naszą polityką a naszą ideologią. Rozszarpywani z jednej strony między nasze dziedzictwo historyczne, nasze miły, nasze wymagania etyczne, z drugiej zaś konieczności historyczne, działalność parlamentarną i wymagania naszych wyborców — przestaliśmy wiedzieć czym jesteśmy. Opinia publiczna umieszcza nas między radykałami a komunistami i przysławialiśmy się już do tego miejsca, ale czy nie jesteśmy nieczym innym jak odważnymi radykałami lub tchórzliwymi komunistami? Czym jesteśmy: wstydliwymi marksistami czy rewolucyjnymi drobniomieszczanami? Tak. Czym jesteśmy? Czego oheamy? Co reprezentujemy w tej połowie dwudziestego wieku?”

Postawionych tu zostało немало pytań, na które pan Bonnel, a prawdopodobnie i jego koledzy partyjni nie potrafili udzielić odpowiedzi. Pytania takie można tymczasem mnożyć, szczególnie gdy o zadawanie ich poprosić nie intelektualistę poszukującego niekpotliwej doktryny, ale prostego człowieka z ulicy. Program społeczny SFIO nie jest bowiem bardziej konsekwentny i spójny niż jej światopogląd. Postulujmy co ma do powiedzenia na ten temat Maurice Duverger:

SFIO — stwierdza on — „zgadza się na podwyżkę płac, ale bez przeprowadzenia reform fiskalnych i społecznych pozwalających na ograniczenie zysków; zgadza się na obniżenie cen podstawowych artykułów żywnościowych, ale bez wstrzymywania subwencji dla niepotrzebnych dziedzin produkcji rolnej; zgadza się na ekspansję gospodarczą, ale bez naruszania przedsiębiorstw marginalnych. Wszystkie te tematy

SFIO wysuwa do spółki z innymi partiami francuskimi, które podkreślają to jeden to drugi z nich w zależności od potrzeby zapewnienia sobie odpowiedniej klienteli. Zbliżona do radykałów SFIO asymiluje się w ten sposób coraz bardziej z konserwatywnym francuskim, uczuciowo sympatyczniejszym od innych, w gruncie rzeczy bardziej antypatycznym, ponieważ polega on na pogodzeniu się ofiar z ich losem. Słowne powoływanie się na socjalizm służy uspokojeniu sumienia, gdyż w tym dziwnym kraju konserwatyści chcą udawać rewolucjonistów w oczach innych ludzi, a jeszcze bardziej w swoich własnych”.

Ten proces asymilowania się SFIO z konserwatyzmem i antykomunizmem został przez Duvergera bardzo trafnie podniesiony. „Wezwanie” Pierre Bonnela i tu okazuje się w zgodzie z ogólnym kierunkiem ewolucji francuskiej partii socjalistycznej.

Już poprzednio spotkaliśmy się z „dziedzictwem historycznym”, „młotami” i „wymaganiami etycznymi” SFIO, które przeszkadzają jej w posiadaniu jednolitej doktryny. Powstaje więc naturalne pytanie: czym jest wspomniane „dziedzictwo historyczne”? Odpowiedź stanie się jasna, gdy wysłuchamy programu pana Bonnela, mającego na celu uzdrowienie socjalizmu demokratycznego.

Pan Bonnel uważa, że winą za stan socjalistyczno-demokratycznej doktryny ponosi istniejący w niej brak precyzji. W związku z tym proponuje on wprowadzenie szeregu uściśleń.

„W szczególności myślimy, że byłoby bardzo dobrze, gdyby raz na zawsze uregulować stosunki socjalizmu i marksizmu, i przez to zlikwidować dwuznaczność, od której cierpiemy indywidualnie i zespołowo. Oficjalnie marksizm nie jest naszą podstawową doktryną, w praktyce nasza polityka nie ozerpie zeń absolutnie żadnego natchnienia; tymczasem nadal udajemy marksistów... Problem nie polega dla nas na tym, by wiedzieć jaki jest prawdziwy marksizm, gdyż każdy posiada swój; ani by wiedzieć, czy redukuje się on czy też nie do metody; jeszcze mniej interesuje nas, czy należy czy nie pójść dalej niż on — interesuje nas natomiast czy powinniśmy oficjalnie, publicznie i rygorystycznie wiązać lub nie wiązać socjalizm demokratyczny z marksizmem. Nie możemy przesądzać odpowiedzi, ale z naszej strony uważamy, że należy absolutnie odłączyć

socjalizm od wszelkiej ideologii totalnej, wszelkiej „weltanschauung” wszelkiej metafizyki, wszelkiej filozofii historii i uniwersalnej metody wyjaśniającej. A raczej, ponieważ jak wiadomo nie może istnieć polityka w pełnym sensie tego słowa bez idei człowieka i idei celu historii, uczynilibyśmy z socjalizmu spadkobiercę humanizmu zarówno religijnego jak i ateistycznego, z dodatkiem woli realizowania go praktycznie w instytucjach, w stosunkach międzyludzkich oraz w sercach i w duszach jednostek. Zresztą celem socjalizmu nie jest udzielanie odpowiedzi na ostateczne zagadnienia, nie powinien on zastępować zmarłego Boga przez nowe bałwany, nie powinien on objawiać ani tłumaczyć ostatecznego celu życia i historii, nie posiada on klucza, który otwiera wszystkie zamki...”

Warto chyba było przeczytać taki długi cytat z Pierre Bonnela, by dowiedzieć się wreszcie, że — jego zdaniem — socjalizm jest czymś pośrednim między wolnym zrzeszeniem apostołów a trupą cyrkową. Właśnie tak, trudno bowiem traktować poważnie propozycję odłączania socjalizmu od wszelkiego światopoglądu, szczególnie gdy kryje się za nim niedwuznaczne wołanie o usunięcie z socjalistyczno-demokratycznej doktryny tych inżynierskich złudzeń marksizmu, które się w niej jeszcze uchowały.

Wydaje się więc, że kierunek polityczny SFIO został przez Duvergera bardzo słusznie pokazany. Jest to tym bardziej przekonujące, że wbrew pozorom jest on wielkim zwolennikiem tej partii, ale w postaci odrodzonej, zdolnej do przeciwstawienia się komunistom. Nieprzypadkowo jego artykuł, z którego zaczerpnięte zostały cytaty, nosi tytuł: „SFIO: śmierć albo przeobrażenie?”

Pytanie to jest bardzo efektowne, ale stawiając je Duverger nie przewidział, że przywódcy SFIO, zgodnie z ich założeniami, odkryją trzęcie wyście z sytuacji w której znalazła się ich partia:

Przeobrażenie jej za życia w upióra.

P.S. Wszystkie zamieszczone tu, nawet najbardziej nieprawdopodobne cytaty, pochodzą, jeżeli chodzi o Maurice'a Duvergera z artykułu „SFIO: mort ou transfiguration?” („Les Temps Modernes”, 112-113, strony 1863-1885); jeżeli zaś chodzi o Pierre'a Bonnela z Révue Socialiste, 90, październik 1955, str. 287-300. A. S.

Niedawno w Samaden koło St. Moritz odbyło się Piąte Międzynarodowe Seminarium Studenckie. Zorganizował je Szwajcarski Krajowy Związek Studentów (VSS) oraz COSEC. Uczestniczyło w nim 22 studentów z Anglii, Francji, Niemiec zachodnich, Izraela, Liberii, Szwecji, USA i Japonii. Szczególnie ożywiona dyskusja rozwinęła się na temat: „Student i jego rola w społeczeństwie”.

Dyskusja osiągnęła punkt kulminacyjny przy omawianiu zagadnienia czy organizacje studenckie powinny brać czynny udział w życiu politycznym narodu.

Wycieczki, filmy i inne rozrywki sprawiły, że program seminarium był bardzo urozmaicony.

\*

Kilka tygodni temu odbyło się w Moguncji Zebranie Rady „Nowoniemieckiego Związku Studentów”.

M. in. rozpatrywało ono zagadnienie współpracy międzynarodowej. Reprezentanci 1500 studentów zrzeszonych obecnie w tym związku powzięli uchwałę przystąpienia do Międzynarodowego Związku Katolickiej Młodzieży Studenckiej (IKSJ), która zrzesza katolickie organizacje młodzieży szkolnej i studenckiej. Członkowie współpracują poprzez wymianę doświadczeń i poglądów zwłaszcza w dziedzinie świeckiego apostołstwa wiary.

\*

Stałą wymianę studentów między ZSRR a Norwegią zapoczątkuje na wiosnę przyszłego roku przyjazd 2 studentów radzieckich do Norwegii, którzy rozpoczną studia na uniwersytecie w Oslo. Również 2 studenci norwescy zostali zaproszeni przez Związek Studentów Radzieckich na studia do Moskwy. Kierownik wydziału kulturalnego w norweskim MZS, Christop Hersen, oświadczył, że prawdopodobnie w semestrze letnim jeden z profesorów radzieckich rozpocznie wykłady z geografii na uniwersytecie w Oslo. Przedstawiciel MZS dodał, że istnieją plany zaproszenia innych uczonych radzieckich do Oslo.

\*

Na łamach socjaldemokratycznego dziennika szwedzkiego MORGON

TIDNINGEN ukazał się list otwarty Iliji Erenburga. W liście tym pisarz radziecki protestuje przeciwko wydaniu przez szwedzką firmę wydawniczą „Tidens Forlag” jego powieści „Odwiłz” z przedmową Svena Valmarka bez zezwolenia i autoryzacji. Erenburg stwierdza, że „przedmowa zredagowana jest w duchu zimnej wojny i zmierza do podważania dobrych stosunków między naszymi krajami. Wydanie takiej książki przez „Tidens Forlag” jest sprzeczne z dążeniami, jakie politycy szwedzcy i przedstawiciele społeczeństwa szwedzkiego przejawiają, jeśli chodzi o przyjaźń i współpracę między wszystkimi narodami”. Pisarz radziecki podkreśla, że zwracał się listownie do firmy wydawniczej z żądaniem wstrzymania sprzedaży książki, jednakże nie odniosło to pożądanego skutku. Erenburg apeluje także do pisarzy szwedzkich, aby ze względu na dobro rozwoju stosunków kulturalnych między obu krajami, jak również ze względu na koleżeńską solidarność stanęli po jego stronie i pomogli mu w obronie słusznych praw wydawców.

\*

Dużym powodzeniem cieszył się w Monachium tzw. „Tydzień uniwersytecki”, polegający na tym, że 28 profesorów ze wszystkich fakultetów paryskiej Sorbony, z rektorem na czele, przybyło do Monachium, gdzie wygłosili ponad 30 odczytów dla studentów. Uniwersytet monachijski postanowił corocznie organizować tego rodzaju „europejskie kolokwia” i zaprosić z kolei profesorów szwajcarskich.

\*

Ostatnio wymiana studentów odbywa się również między uczelniami zachodnio-niemieckimi a szkołami wyższymi w NRD. Wbrew woli siłkom kół zachodnio-niemieckich, które starają się nie dopuścić do kontaktu z młodzieżą NRD, udało się na dłuższy pobyt do NRD pierwsza grupa studentów z Lipska zapozna się z koleją z systemem studiów na uniwersytecie w Erlangen,

# KTO ZWYCIEŻY 2 STYCZNIA?

**S**łuch jest ludzką cechą”. Mam nadzieję, że nikt mi nie weźmie za złe tego cytatu francuskiego idealistycznego filozofa Bergsona, a zresztą jak mówią, Francuzi „Tant pis” (tym gorzej dla niego), jeżeli ktoś się oburza. Śledząc debatę w parlamencie francuskim pomyślałem: nie dziwnego, że to właśnie francuski filozof napisał rozprawę o śmiechu, że tak słynne na świecie dusza wolteriańska i w ogóle „l'esprit francais”. W chwilach największego napięcia, tego wieczoru, kiedy zgromadzenie narodowe obalilo rząd Faura, wdebacie, która poprzedziła głosowanie nie zabrakło właśnie tego „esprit”. Tak np. deputowany Vallon, wytykając rządowi, że właściwie nie rządził, lecz tylko „przetrawiał” 299 dni, powiedział:

„Według powiedzonka młodej, bo 8-letniej poetki Minou Drouet, tylko dwie rzeczy „przetrawiają”. Są to za małe bućki i głupota. (Śmiech). Na pewno nie można zarzucić głupoty naszemu premierowi — nie mówię jednak o wszystkich jego ministrach (śmiech). Ale za małe bućki nie pozwolił rządowi iść na przód, a tymczasem wypadki postępowały przeciwko interesom Francji”.

Możliwe, że dla niektórych komentatorów takie „niepoważne”

wyskoki są „jeszcze jednym dowodem rozkładu Francji”. Ale ten, kto patrzy, żeby widzieć, nie może nie zauważyć, że nie jest to wcale „humour gratuit”, czyli sztuka dla sztuki. Słowa niezależnego deputowanego Vallona bardzo dobitnie określiły słabość, ograniczonność i błędny kierunek dotychczasowej polityki francuskiej, która nie panowała nad wypadkami, ale była przez nie opanowana.

\*

Za dwa tygodnie odbędzie się wybory we Francji, a dopiero 13 bm. rozpoczęła się kampania wyborcza. Niektórzy obserwatorzy przypisują właśnie temu krótkiemu terminowi rzadko widziany wzrost aktywności politycznej we Francji. „Wysoka gorączka — mówią oni — może tylko utrzymać się przez krótki czas”. Wydaje się jednak, że nie chodzi tu o zwykłą gorączkę przedwyborczą. Tym razem nie tylko politycy gorączkują, ale również niesłychanie jest zainteresowanie samego wyborcy. Świadczy o tym m. in. fakt, że około 60 proc. amatorów sportów zimowych, przebywających w górach zapowiedziało, iż mają zamiar powrócić do swych miejsc zamieszkania na dzień 2 stycznia. W związku z tym uruchomione będą specjalne „pociągi wyborcze”.

„Il faut que cela change” (zmiany są niezbędne) jest to zdanie, które ciągle powraca w rozmowach. O czym to wszystko świadczy? O tym, że rasy ludowe w najszerszym te-

go słowa znaczeniu myślą, iż nadchodzi czas, by dokonać przełomu w dotychczasowym kierunku polityki francuskiej. Czy wybory do tego doprowadzą? Innymi słowami: kto wygra wybory?

Ażby próbować odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw zorientować się kto walczy, o co i przeciwko komu. Na pierwszy rzut oka dość trudno jest rozeznaczyć się w dziesiątkach list wyborczych, które pod najrozmaitszymi nazwami i hasłami domagają się głosów od wyborców. W samym tylko departamencie Sekwany wystawiono powyżej 60 list. Ale kiedy zaczniemy analizować koalicje wyborcze, obraz staje się jasniejszy. To co charakteryzuje obecną sytuację polityczną Francji, to zarazem rozbieżność obozu burżuazji i strach przed frontem ludowym. Walka bloku wyborczego Mendes-France'a przeciwko blokowi Faura odzwierciedla pierwszy moment, postawa przywódców socjaldemokracji — drugi. Jest rzeczą zmienną, że SFIO, która w 1951 roku odrzuciła blok z komunistami pod pretekstem, że utrudniałoby mu to walkę przeciwko Gaullistom, teraz nie tylko znowu odrzuca sojusze z komunistami lecz zawarła porozumienia, które w wielu departamentach obejmują właśnie Gaullistów!

Ale mimo wszystko reakcja boi się wyników wyborów. „Wielu politycznych obserwatorów — pisze UP — przewiduje, że w wyborach komuniści zwiększą swój stan posiadania o 20-30 mandatów. Roz-

bicie partii niekomunistycznych sprzyja czerwonym”. Również Reuter przewiduje, że „komuniści zdobędą w nowym zgromadzeniu narodowym 125 mandatów, podczas gdy w poprzednim posiadali 95”.

„Widmo komunizmu krąży nad Europą” — napisał kpiąco Marks ponad 100 lat temu. Coś podobnego można by powiedzieć i dziś o atmosferze panującej we Francji. Wydaje się jednak, że ilość deputowanych komunistycznych, którzy zasiadają w parlamencie, choć jest rzeczą ważną nie jest sprawą zasadniczą. Istotne znaczenie ma rozwój układu sił we Francji, który od dwóch lat idzie w kierunku krystalizowania się frontu ludowego. Burżuazja francuska przerażona jest m. in. wynikami kantonalnych wyborów, które pokazały się przyciągającą jedności socjalistów i komunistów, postanowiła działać i znalazła... Mendes-France'a.

Komuniści głoszą: „Trzeba radykalnie zmienić kierunek polityki francuskiej”.

Mendes France krzyczy o tym głośniej.

Komuniści mówią: Front Ludowy. Mendes France odpowiada: Front republikański.

Brzmiało to bardzo podobnie, nieprawda?

W tym świetle, moim zdaniem, można lepiej zrozumieć frazeologię socja-demagogiczną Mendes France'a — uważanego przez Amerykanów za najmądrzejszego polityka francuskiego — kampanię jego

dziennika „Express”, jego wysiłki ażeby stworzyć front republikański razem z socjalistami itd. Trzeba było za wszelką cenę zapobiec utworzeniu Frontu Ludowego na zasadzie jedności socjalistów i komunistów. Spór Mendes France — Faure odzwierciedla o wiele więcej niż kłótnię osobistą. Burżuazja francuska w obawie, że zjednoczona prawica spowodowałaby silniejszą zjednoczoną lewicę, a na końcu Front Ludowy, wołała uciec się do manewru, którym jest stworzenie frontu republikańskiego pod przewodnictwem „nowego” człowieka, ongiś

popularnego (zakończył wojnę w Indochinach) — Mendes France'a.

W obecnych wyborach nie udało się jeszcze stworzyć Frontu Ludowego. Najtrzeźwiejsi obserwatorzy zdają sobie sprawę, że może to najwyżej powstrzymać, ale jednak nie zmienić, zasadniczy rozwój wypadków. Maurice Duverger, znany publicysta dziennika „Le Monde” zaznacza, że zwycięstwo prawicy nad podzieloną obecnie lewicą jest wprawdzie możliwe w obecnych wyborach ale... „Na końcu drogi jednak, dojdą oni, jest Front Ludowy...”

Wiktor



Pan Guy Mollet prowadzi socjalistom (SFIO). Do wyborów idzie razem z Mendes-France'em tworząc wspólny z innymi ugrupowaniami tzw. „Front Republikański”. Trzeci z panów — Georges Bidault, przewodniczący MRP — nie należy do tego ugrupowania. Trudno bowiem by socjaliści afiszowali się przyjaźnią z partią katolicką. Po cichu jednak MRP popiera SFIO nie wysuwając kandydatów w departamentach, gdzie socjaliści mają zdecydowaną przewagę. A więc SFIO idzie przeciwko komunistom w sojuszu z reakcją kolonialną i reakcją kościelną.

# GRUPA 55

MARIAN BOGUSZ

- Symfonia liturgiczna Honnegera
- Głowa dziewczyny

ANDRZEJ ZABOROWSKI

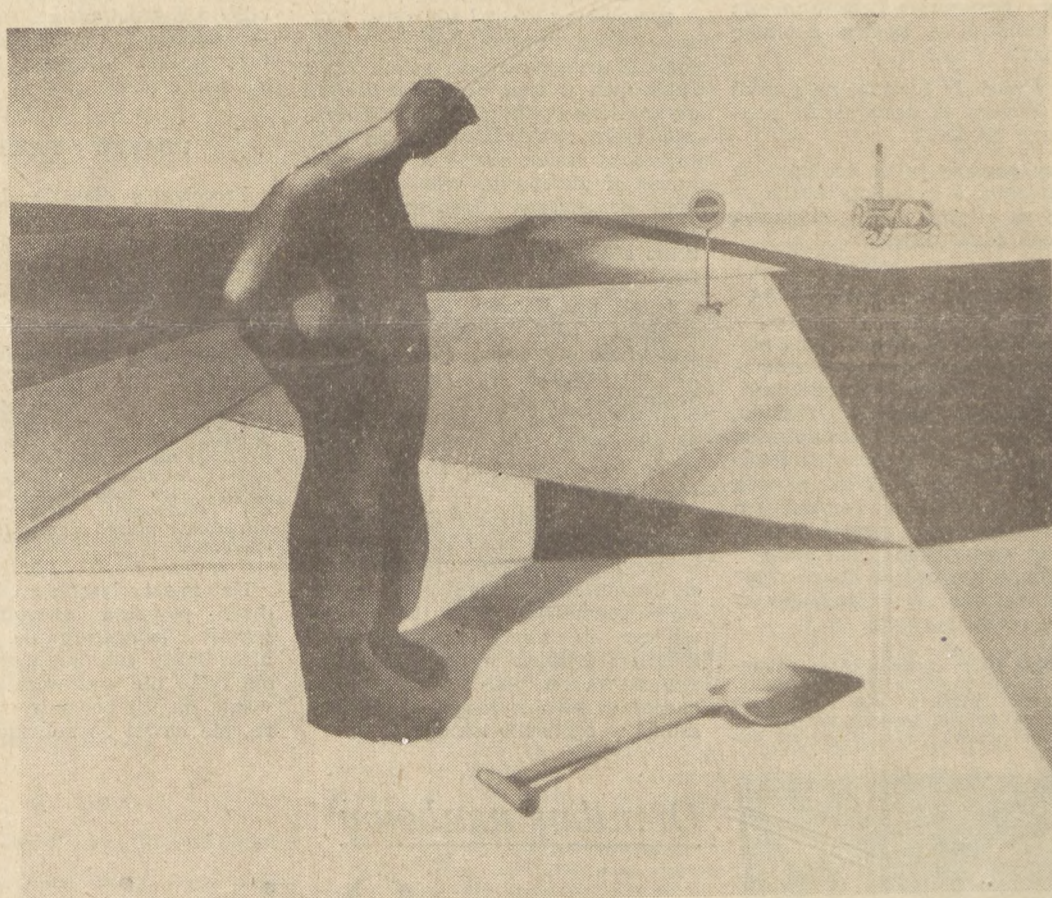
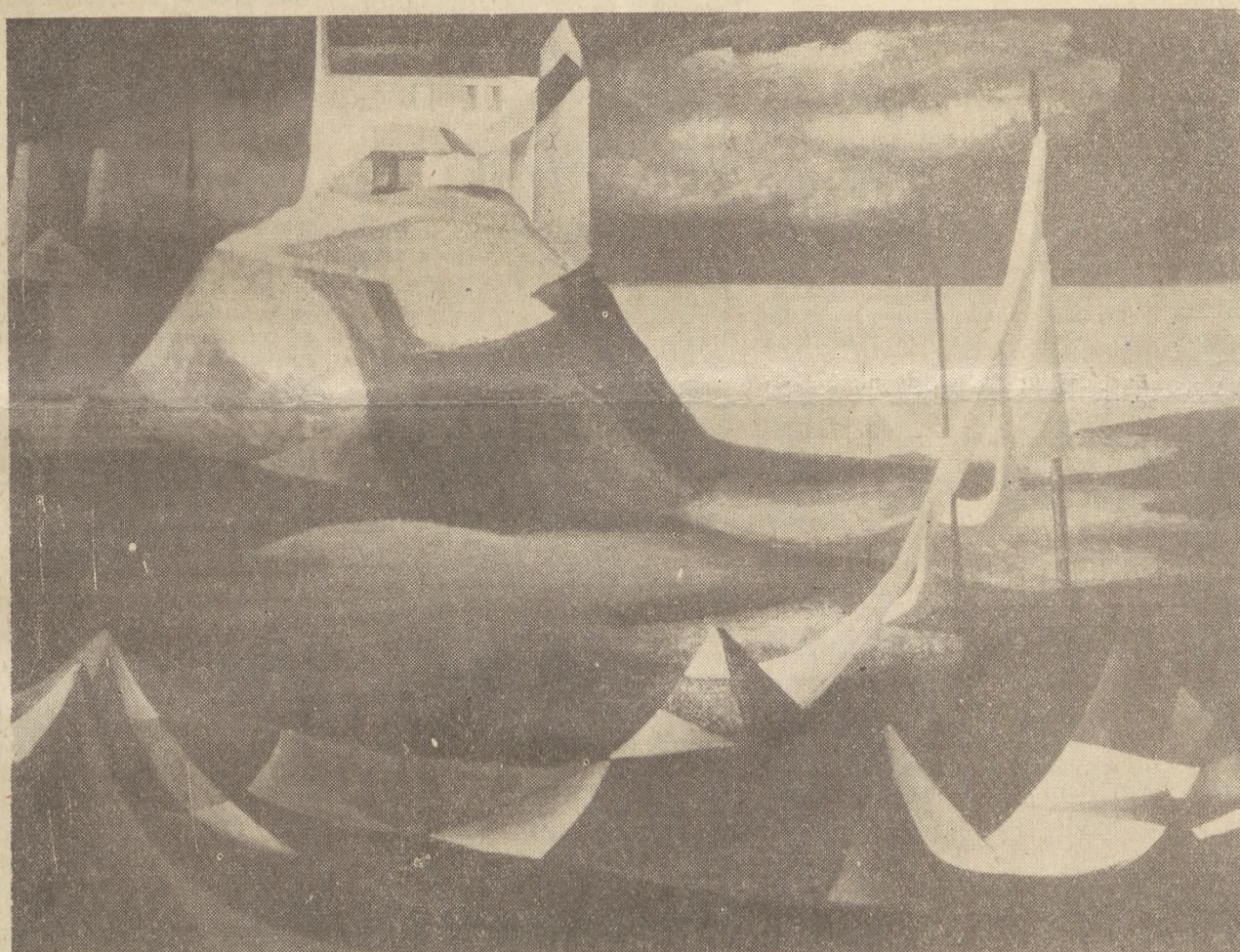
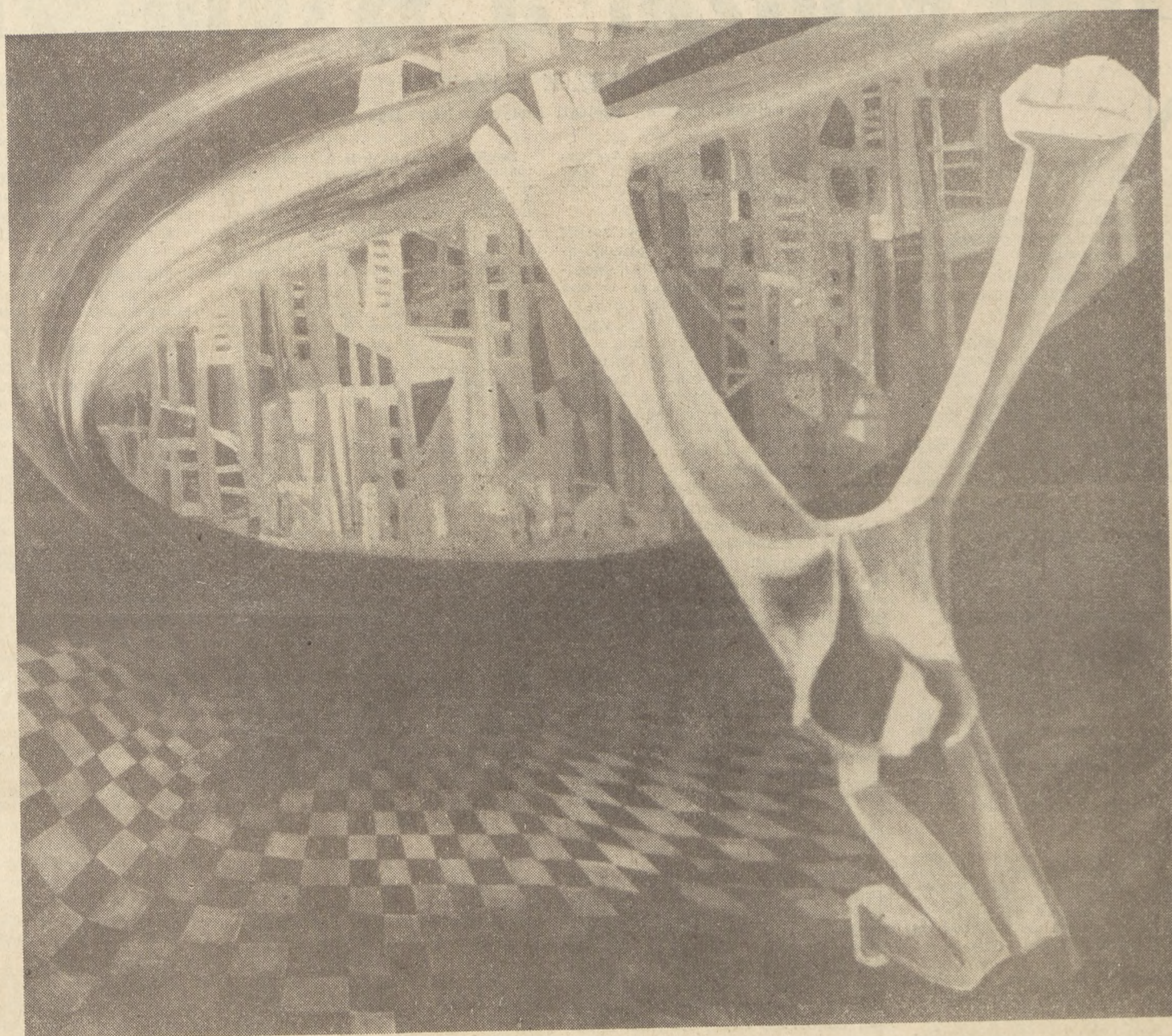
- Pejzaż
- Drogi będą nowe

ZBIGNIEW DŁUBAK

- Macierzyństwo - owoce

KAJETAN SOSNOWSKI

- Patrz str. 1



# Darwinizm a lysenkizm

Mgr LESZEK KUŹNICKI  
adjunkt Zakładu Biologii Instytutu Nenckiego PAN

Nowe poglądy w naukach biologicznych i związane z nimi spory budzą żywe i powszechne zainteresowanie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie ewolucjonizmu — nauki o rozwoju świata żywego, najbardziej uogólniającej spośród dyscyplin biologicznych, nauki o wybitnie światopoglądowym charakterze.

To co leży w centrum zainteresowania biologii powinno być omawiane i dyskutowane na jak najszerszym forum. Niestety, nie zawsze i nie wszędzie tak się dzieje.

Od trzech lat toczy się w ZS.R. dyskusja, której głównym tematem są poglądy Lysenki na zagadnienie ewolucjonizmu. Dyskusja ta interesuje nie tylko przysrodników; jest ona szeroko komentowana także wśród najszerszych rzesz społeczeństwa

## A W POLSCE? SPROBUJMY...

U nas szerokiej dyskusji nie ma, ale za to mamy wiele opacznych interpretacji, wiele plotek. Nie należy się temu dziwić wobec naszej oficjalnej „zmowy milczenia”; termin ten z całą jaskrawością oddaje obawę, jaka ogarnęła polskich biologów przed spopularyzowaniem i podjęciem szerokiej dyskusji na te tematy.

Dotychczas podjęto zaledwie jedną próbę przerwania milczenia; był nią artykuł K. Petrusiewicza i W. Michajłowa w 9 nrze „Nowych Drog” z br. Poruszono w nim, niestety, zbyt wiele zagadnień, a tym samym nie wszystkie zostały dostatecznie przedstawione.

A potrzebna jest szeroka dyskusja, która ostatecznie przezwyciężyłaby ową „znowu milczenia”. Spróbujmy zacząć ją od krytycznego rozpatrzenia poglądów Lysenki na zagadnienie ewolucjonizmu.

Aby uniknąć niejasności, postawię trzy zasadnicze pytania, na które następnie postaram się odpowiedzieć:

1) Czy i w jakim stopniu obecne poglądy Lysenki na zagadnienie ewolucjonizmu są zgodne z nauką Darwiną?

2) Czy poglądy Lysenki na rozwój świata żywego są dostatecznie podbudowane faktami?

3) Czy poglądy te są kontynuacją miczurinizmu, a zatem czy można je uważać za istotną część składową twórczego darwinizmu?

## WALKA O BYT I EWOLUCJA

Nauka Darwinu opiera się na pięciu podstawowych prawach: zmienności bezkierunkowej, dziedziczności, geometrycznego postępu rozrodo, walki o byt i doboru naturalnego. Każda z tych zasad stanowi istotne ogniwo jego teorii. I tak według Darwinu — istotnym czynnikiem wpływającym na rozwój organizmów w warunkach naturalnych jest walka o byt będąca konsekwencją rozmnażania się organizmów w postępie geometrycznym.

Wszystkie istoty żywe wydają potomstwo w liczbie znacznie większej niż ta, która może utrzymać się przy życiu (nie ma na świecie takiego organizmu, którego potomstwo rozmnaża się bez

przeszkód, nie zapelniliby w krótkim czasie całej powierzchni ziemi). W przyrodzie jednak znaczna część osobników ginie, nie wydając potomstwa.

Darwin nazwał walką o byt zespół wszystkich czynników, powodujących masowe wymieranie organizmów, przy czym przejawia się ona w trzech zasadniczych formach: walka z warunkami przyrody, walka międzygatunkowa oraz walka o byt między osobnikami jednego gatunku. W zależności od sytuacji każda z tych form może odgrywać decydujące znaczenie. Darwin jednak uważał, że walka o byt występuje najostrejsz w swej postaci wewnątrzgatunkowej. Oczywiście, mówiąc o walce nie miał na myśli potocznego znaczenia tego słowa, a jedynie zjawisko konkurencji w wyniku której przeżywają zawsze osobniki, jaknajlepiej przystosowane do warunków środowiska. To twierdzenie stanowi najistotniejszą treść jego prawa, które nazwał doбором naturalnym.

Osobniki jednego gatunku czy jednej odmiany, ba, nawet te, które pochodzą od jednych rodziców, różnią się zawsze (choćby bardzo nieznacznie) między sobą. W wyniku ostrej walki konkurencyjnej przeżywają tylko te, które są najlepiej przystosowane do warunków środowiska. Ponieważ według Darwinu konkurencja jest najostrejsza między osobnikami najbardziej do siebie podobnymi — największe szanse przeżycia mają osobniki jak najbardziej różniące się między sobą.

Proces taki, powtarzając się na przestrzeni wielkiej ilości pokoleń, prowadzi do coraz większego różnicowania się organizmów i tą drogą powstają nowe odmiany, a następnie nowe gatunki. W ten to sposób Darwin rozumiał rolę doboru naturalnego, a jednocześnie wyjaśniał, jak na drodze nagromadzenia drobnych zmian następuje przekształcenie się jakości, czego wynikiem jest powstawanie nowych gatunków.

## LYSENKO ODRZUCA NAJISTOTNIEJSZE

Właściwie Lysenko jest tylko kontynuatorem darwinowskiego ujęcia zjawisk dziedziczności: zgadza się z Darwinem w tym, że podstawowym czynnikiem ewolucji jest dziedziczenie cech nabytych oraz, że cały organizm tierze udział w tworzeniu komórek piciowych. Wobec wszystkich pozostałych elementów darwinizmu poglądy Lysenki są nie tylko różne, ale wręcz przeciwnie.

I tak np. Darwin wyróżniał w rozwoju istot żywych zarówno zmienność skokową, jak i ciągłą, ale tej ostatniej przypisywał najważniejsze znaczenie ewolucyjne. Natomiast Lysenko twierdzi wręcz, że zmienność ciągła nie wpływa w ogóle na ewolucyjne kształtowanie się organizmów.

Lysenko kwestionuje darwinowski mechanizm ewolucji. Uważa on, że w przyrodzie na ogół nie obserwuje się rozmnażania organizmów w postępie geometrycznym, a tym samym nie ma tu nigdy „przeludnienia”. Zdaniem Lysenki walka wewnątrzgatunkowa nie tylko nie ma żadnego znaczenia ewolucyjnego, ale w zasadzie w ogóle nie istnieje.

Źródła takich twierdzeń tkwią w lysenkowskim pojmowaniu gatunku: gatunek jest nie tylko jednostką realnie istniejącą w przyrodzie, ale jednostką całkowicie nadzrędną w stosunku do osobników które wchodzi w jego skład. Wychodząc z tego założenia nie mogą istnieć w przyrodzie jakiegokolwiek procesy niekorzystne dla gatunku. Np. w gęstym jednogatunkowym skupieniu organizmy zmniejszają proces rozrodo dlatego, że w tej sytuacji silne rozmnażanie jest dla gatunku niekorzystne. Wymieranie organizmów w takim skupieniu nie jest — zdaniem Lysenki — przejawem walki o byt, ale formą życia gatunku, który w zależności od sytuacji jest gotów poświęcić część osobników dla dobra pozostałych.

Lysenko uznaje tylko walkę o byt w dwu postaciach: międzygatunkową i z warunkami środowiska. Jednak i te procesy nie mają u niego istotnej wartości ewolucyjnej. Prowadzą one jedynie do różnicowania się gatunku na szereg odmian, co pomaga do rozkwitu i przetrwania gatunku, ale nigdy nie prowadzi do jego przekształcenia.

Zdaniem Lysenki ewolucję powodują wyłącznie bezpośrednie wpływy warunków zewnętrznych, wywołujące zmianę przemiany materii osobników danego gatunku. Pod wpływem takiego działania osobniki starego gatunku zaradzają osobniki nowego gatunku (od razu przystosowanego do warunków środowiska). W związku z tym jeden gatunek, w zależności od sytuacji, może jednocześnie zaradzać szereg różnych gatunków, a tym samym jeden gatunek może być zaradzany przez różne gatunki.

Tym samym Lysenko całkowicie odrzuca to, co w nauce Darwinu jest najistotniejsze, a mianowicie tworzące działanie doboru naturalnego. W poglądach Lysenki nie ma miejsca na dobór naturalny.

Sądząc, że w tym wypadku odpowiedź na pierwsze pytanie nie może być dwuznaczna. A zatem należy przestać nazywać darwinizmem poglądy, których treść przeczy tej nauce.

Z drugiej strony biorąc pod uwagę fakt, że koncepcje Lysenki tworzą pewną zamkniętą całość i, że nie można im w pewnych wypadkach odmówić śmiałości ani oryginalności — proponuję ewolucyjne poglądy tego autora nazywać **l y s e n k i z m e m**.

## UBÓSTWO FAKTÓW

Przechodząc obecnie do drugiego pytania. Chodzi o to czy istnieją dostateczne podstawy, aby lysenkizm uznać za teorię odzwierciedlającą faktyczny proces rozwoju żywego świata.

Ewolucjonizm jako najbardziej uogólniający ze wszystkich dyscyplin przyrodniczych musi opierać się na zdobyciach innych nauk biologicznych i musi być zgodny z faktami podanymi przez te nauki. Rozumiał to doskonale Darwin i dlatego nieprzypadkowo w swoim podstawowym dziele „O powstaniu gatunków” (które było owocem 20 lat pracy) zgromadził ogromny dorobek wszystkich innych dyscyplin przyrodniczych.

Natomiast lysenkizm cierpi na dwie poważne choroby: ubóstwo faktów i jednostronność. Moim zdaniem fakty zebrane przez Lysenkę nie tylko nie wystarczają do budowania na ich podstawie nowej teorii, ale nawet do stawiania hipotez.

Aby zaprzeczyć występowaniu w przyrodzie walki wewnątrzgatunkowej oraz zdolności rozmnażania się organizmów w postępie geometrycznym — Lysenko posłużył się zaledwie dwoma przykładami: hodowlą mniszka kauczukonośnego oraz lucerny. Ale co najciekawsze — przykłady te raczej potwierdzają tezy darwinowskie.

Fakt, że pojedyncze rośliny lucerny w gęstym skupieniu jednogatunkowym znacznie zmniejszają swoją plenność (w stosunku do osobników rosnących osobno czy też w hodowli mieszanej) Lysenko interpretuje jako całościowy sposób reagowania gatunku. Myslę, że w danym wypadku bardziej przekonujący jest pogląd Darwinu, według którego jedna z istotnych form walki o byt jest ograniczenie rozrodo konkurencyjnych z sobą osobników.

Podobnie nieprzekonywający jest przykład z mniszkiem, który wysiewany pojedynczo w rzędach daje niskie pędy, natomiast korzeni jak i nasion, gdyż jest zagluszany przez chwasty, natomiast stosując siew kupkowy po 100—200 nasion w gnieździe można znacznie podnieść urodzaj mniszka. Na tej podstawie Lysenko uważa, że w życiu mniszka decyduje walka międzygatunkowa, a stosunki między osobnikami jednego gatunku nie tylko nie mają charakteru antagonicznego, ale wręcz stymulujący.

O ile pierwszy wniosek jest najzupełniej oczywisty, o tyle twierdzenie o braku walki wewnątrzgatunkowej nie wydaje się pewne. Jak bowiem wyjaśnić fakt, że z 100—200 nasion maksymalna ilość roślin w gnieździe wynosi 37 sztuk, a w przeważającej większości od 1 do 10? I te osobniki są tym bardziej okazałe im mniej pozostało ich w gnieździe?

Jeszcze bardziej zasadnione wątpliwości budzą fakty mające uzasadniać lysenkowską koncepcję ewolucyjnego rozwoju gatunków. Podstawą tych poglądów jest stwierdzenie występowania w kłosach zboż jednego gatunku pojedynczych ziarn innego gatunku, np. ziarna żyta w kłosach pszenicy.

Według Lysenki — są to przykłady, które ilustrują sposób przebiegu przekształceń gatunkowych w żywej przyrodzie. Przekształcenia te mają jednak z reguły charakter odwracalny i różnokierunkowy, gdyż żyto ma jednocześnie zdolność zaradzania różnych gatunków pszenice. Zmiany te są jakoby tak powszechne, że zdaniem Lysenki z jednego dowolnego gatunku zboż uprawnych można na przestrzeni kilku lat otrzymać wszystkie znane gatunki zboż oraz większość pospolitych chwastów tych roślin.

Ten ostatni wniosek nie jest oparty na żadnych dowodach. Zresztą dyskusja wykazała, że wiele przykładów przeradzania się gatunków nie posiada dostatecznej dokumentacji i należy je traktować jako błędne obserwacje.

Co prawda niektóre z podanych przez Lysenkę faktów (znanych zresztą od kilkudziesięciu lat, jak np. pojawienie się w kłosach pszenicy ziarn żyta) nie mogą być kwestionowane. Ale gdyby nawet wszystkie „dowody” Lysenki były prawdziwe — w żadnym wypadku nie stanowiłyby one dostatecznych przesłanek do tworzenia na ich podstawie nowej teorii ewolucyjnej ze względu



Trofim Lysenko w swym gabinecie podczas dyskusji z delegacją młodzieży biologów.

Foto: L. Kuźnicki

na ich jednostronny (o czym niżej) charakter.

## DRUGA CHOROBA — JEDNOSTRONNOŚĆ

Danych tych jest bardzo mało i dotyczą one jedynie wąskiego materiału roślinnego. Nie ma w nich ani jednego przykładu przekształceń organizmów żyjących w warunkach naturalnych, a więc danych najbardziej istotnych dla teorii ewolucyjnej.

Najważniejsze jednak jest to, że cały zebrany przez Lysenkę materiał nie jest w ogóle odzwierciedleniem procesów rozwojowych. Procesami ewolucyjnymi bowiem są tylko te zjawiska i przekształcenia, które prowadzą do powstania nowych form nie istniejących dotychczas w przyrodzie. Natomiast podane przez Lysenkę fakty dotyczą jedynie zaradzania się gatunków powszechnie znanych i od dawna występujących.

Przekształcanie żyta w pszenicę i odwrotnie nie jest ewolucją, a jedynie oscylacją. Przyjmując zjawisko to za przykład prawidłowości procesów rozwojowych, Lysenko przekreśla większość danych zebranych przez nauki biologiczne, które wskazują, że właściwe procesy ewolucyjne są nieodwracalne. I tu z całą jaskrawością występuje jednostronność i ekskluzywność lysenkizmu.

Medzy innymi Lysenko poddał w wątpliwość ewolucyjne znaczenie takich nauk, jak systematyka a nawet paleontologia. W rozmowie z nami Lysenko twierdził, że systematyka była i jest systemem sztucznym, stworzonym przez człowieka i dla jego wygody. Nie można zatem uważać, że oddaje ona chociażby w przybliżeniu naturalny system rozwoju zwierząt i roślin (wychodząc z takich założeń, Lysenko uważa Linneusza za najlepszego systematyka wszystkich czasów).

Jedynie agrobiologia i praktyka hodowlana mogą z całą pewnością określać gatunki biologiczne i badać procesy ich rozwoju. A zatem wnioski jakie z niej wypływają są, zdaniem Lysenki, absolutnie prawdziwe. Tak prawdziwe, że nie wymagają konfrontacji ani z poprzednimi teoriami, ani z faktami naukowymi z innych dziedzin.

Biorąc to wszystko pod uwagę lysenkizm nie może pretendować do miana teorii ewolucyjnej. Lysenkizm — to jedynie niepewna hipoteza, oparta na niewielkiej ilości jednostronnych i nieprzekonywujących faktów.

## DAWNE ZASŁUGI I DZISIEJSZE BŁĘDY

Mogłoby się wydawać, że w tej sytuacji odpowiedź na trzecie pytanie jest zbędna lub raczej można ją wyrazić w jednym zdaniu. Sprawa jednak nie jest tak prosta.

Wielką zasługą Iwana Miczurina było rozbudowanie i wyjaśnienie darwinowskiego ujęcia zjawisk zmienności i dziedziczności. Zarówno metodologiczna, jak i faktyczna spuścizna naukowa Miczurina jest tak ogromna i ma tak istotne znaczenie dla ewolucjonizmu, że stano-

wi podstawę nowej nauki zwanej biologią miczurinowską lub twórczym darwinizmem.

W prawach Miczurina nie ma niczego, co przeczyłoby teorii Darwinu, lecz można znaleźć bardzo wiele elementów, które ją rozbudowały i podniosły na wyższy poziom. Przykładem tego jest fakt, że najciekawsze atakowano zawsze te prace Miczurina, które potwierdzały darwinizm, np. o możliwości otrzymania płodnych mieszańców międzygatunkowych zarówno na drodze piciowej jak i wegetatywnej czy też przykłady dziedziczenia cech nabytych.

Lysenko w początkach swej kariery naukowej był wiernym uczniem Darwinu i Miczurina, ba, nawet obrońcą i głosicielem ich teorii. Spopularyzowanie zdobyczy Miczurina i wywalczenie właściwego miejsca jego nauce jest w znacznym stopniu zasługą Lysenki.

Jednak w tym okresie Lysenko nie zajmował się zagadnieniami ewolucjonizmu, ale głównie badaniami procesów rozwoju osobniczego roślin jednoletnich. Wynikiem tych prac była teoria stadialnego rozwoju roślin — trwała zdobycz nauki, która przyniosła zasłużoną sławę jej autorowi.

Jednocześnie Lysenko wychodząc ze słusznych założeń darwinowskich i opierając się na ogromnym materiale zebranym przez Miczurina oraz wynikach własnych badań — rozpoczął walkę z wszechwładnie w tym czasie panującą genetyką formalną. Istotną treścią tej walki było uznanie darwinowsko-miczurinowskiej zasady dziedziczenia właściwości nabywanych przez organizmy za podstawowe prawo genetyczne. Tę działalność Lysenki również należy ocenić jak najbardziej pozytywnie.

Ale mniej więcej od 15 lat zainteresowania Lysenki przesunęły się z procesów osobniczych w kierunku ogólnych zagadnień ewolucyjnych. Zaczyna on teraz budować własną koncepcję, w której poprawia Darwinu, doszukuje się u niego błędów, a nawet przeczy podstawowym założeniom jego nauki.

Zjawisko to stale narasta i ostatecznie doprowadza Lysenkę nie tylko do całkowitego odstępstwa od Darwinu i wielu poglądów Miczurina, ale nawet od swoich własnych poprzednich twierdzeń. M. In. Lysenko przeczy dziś możliwości otrzymywania płodnych międzygatunkowych mieszańców.

Dołącza się do tego dogmatyzm w stosunku do własnych poglądów oraz dążenie do zajęcia monopolistycznego stanowiska w biologii. Jednocześnie Lysenko nie nazywa rzeczy po imieniu i swoje własne poglądy określa jako darwinowskie i miczurinowskie nawet wówczas, gdy nie mają one z tamtymi nic wspólnego.

Nie ma więc żadnych podstaw, aby lysenkizm uważać za szczytowe osiągnięcie twórczego darwinizmu. Przeciwnie, sądząc, że dalszy rozwój biologii miczurinowskiej wymaga odrzucenia lysenkowskich hipotez ewolucyjnych. Bo nawet w najsłuszniejszej sprawie nie można walczyć z biednymi pozycjami.

## Omnibus naukowy

# O życiu, które powstało w próbówce

Mam właśnie przed sobą egzemplarz włoskiego pisma „Epoca”, w którym znalazłem pierwsze, nieco obszerniejsze szczegóły sprawy, która przed paroma tygodniami wstrząsnęła światem.

W niewielkim artykule prof. Adriano Buzzati Traverso omawia doświadczenia prowadzone przez zespół amerykańskich biologów pracujących pod kierownictwem prof. Wendell Stanley'a z uniwersytetu w Berkeley (USA).

Jak już wiadomo z komunikatów prasowych, zespół ten ogłosił niedawno światu wyniki swego — bez wątpienia — rewelacyjnego odkrycia. Otóż po żmudnych i długotrwałych badaniach udało się tej grupie uczonych „stworzyć” z martwej materii — żywy organizm!

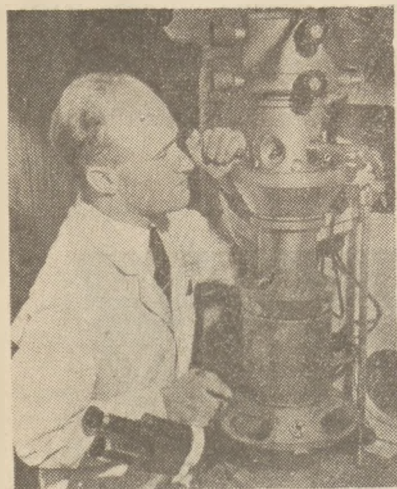
Wydaje się to nieprawdopodobne. A jednak...

W Berkeley, z dala od ulicznego gwaru, pośród dużego akacjowego ogrodu, wznosi się niewielki biały dom. Mieszkańcy miasta znają go jako „laboratorium wirusów”. Tam właśnie około 1935 roku udało się prof. Stanley'owi wydzielić z rośliny tytoniu (z odmiany zwanej popularnie „mozaiką”) substancję o krystalicznej strukturze, która po przeszczepieniu jej w tkankę innej rośliny zachowała zdolność repro-

dukcji, wzrastania — a więc zdolność życia. Okazało się też, że po pewnym czasie substancja ta przekształcała owej roślinie symptomy charakterystyczne dla liścia tytoniu „mozaiki”, przekazując zatem tej roślinie część swoich właściwości.

Czyżby granica między żywą a martwą materią została naruszona? Wywołało to oczywiście wśród uczonych wielu krajów istną burzę dyskusji. I choć dyskusja ta nie była w wynikach zbyt owocna, ustalono, że owa substancja to po prostu wirus, który może być skryzalizowany tak jak np. sól czy cukier, zachowując przy tym swoje reprodukcyjne własności.

W ciągu następnych lat udało się ustalić, że wirus ten składa się z substancji zwanej RNA połączonej z białkiem. Okazało się też, że np. wirus wywołujący u człowieka gripę składa się z substancji zwanej DNA połączonej z białkiem. W ciągu zaś dalszych analiz chemicznych i fizyko-chemicznych oraz dzięki obserwacjom pod mikroskopem elektronowym a także studiów nad widmem i zalamywaniem się promieni „X” odkryto wreszcie strukturę cząsteczki wirusa tytoniu „mozaiki”. Wirus ten zbudowany jest w kształcie laseczki, długości mniej więcej 30 milimikronów (milimikron — milionowa część milimetra). Część



Przy mikroskopie elektronowym, dzięki któremu otrzymano poniższe...



...zdjęcie wirusów nad którymi pracuje grupa prof. Stanley'a. Wirus grypy ma formę granulek, albo niteczek. Wirus „mozaiki” tytoniu wygląda jak laseczka, złożony jest on z 324 cząsteczek.

## Najnowsze podręczniki i skrypty Państwowego Wydawnictwa Naukowego

B. Asiejew — PODSTAWY RADIOTECHNIKI — Wyd. I.  
TABLICE INŻYNIERSKIE — pod red. S. i J. Bryla, Tom I: matematyka, obciążenia, statyka, dynamika. Wyd. I.  
J. Słowikowski — WYKŁADY MATEMATYKI. Część I.  
K. Idaszewski — POMIARY ELEKTRYCZNE.  
K. Głębiński — WYPOSAŻENIE SAMOLOTU. Część II.  
S. Michałowski — EKSPLOATACJA ELEKTROWNI WODNYCH.  
K. Szablowski i B. Kowalski — POMPY i HUROCIAŁY.  
W. Rutkowski — KURS METALURGII PROSZKÓW.  
R. Dykacz i Z. Strzelecki — ORGANIZACJA PRACY W WYROBISKACH GÓRNICZYCH. Część II.  
B. Keler i A. Mińkowski — ORGANIZACJA I PLANOWANIE W PRZEDSIĘBIORSTWIE PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO.  
S. Szer — PRAWO SPADKOWE — Wyd. II uzupełnione.  
F. Kepiński — ASTRONOMIA SFERYCZNA.

MARK ZEWICKI

## NIEKRASOW

Wybitny pisarz i dramaturg francuski Jean Paul Sartre, autor m. in. wystawianej w Polsce „Ludzi z zaskiem”, aktywny uczestnik ruchu obronców pacy, napisał ostatnio pamflet satyryczny pt. „Niekrasow”.

Tematem sztuki jest historia antykomunistycznej i antyradzieckiej prowokacji. Zwykła kaczka dziennikarska wydrukowana w dzienniku „Soir à Paris” daje początek wielkiej politycznej aferze międzynarodowej. Sztuka Jean Paul Sartre’a obnaża stosunki panujące w społeczeństwie, gdzie motorem działania jest drapieżna walka o byt, walka, w której podstawowym prawem jest zasada, że silniejszy dęce słabszego. Bohaterem sztuki jest słynny oszust i aferaista Georges de Valera, geniusz w swoim rodzaju. Osaczony przez paryską policję rzuca się on z mostu do Sekwany, skąd wylatują go nocujący na nabrzeżu wiozący. W rozmowie z nim de Valera daje wyraz swej życiowej filozofii: „Życie to panika w płonącym teatrze. Wszyscy szukają wyjścia i nikt go nie znajduje. Wszyscy biją się z wszystkimi. Bieda tym, którzy padną. Stratają ich natychmiast”.

Wiemy swoje? Filozofii de Valera z całą bezwzględnością poświęcił swych wybaczków, gdy ścigający go policjanci wpadną na jego trop. Wiozącego, którym za okazanie pomocy i ukrycie przestępstwa grozi surowa odpowiedzialność, pozostaje tylko skoczyć do Sekwany. Georges de Valera ucieka, aby po roznych perypetiach wypłynąć znowu jako rzekomo zbłądziły z ZSRR minister radziecki — Niekrasow.

Druga część sztuki jest ilustracją konsekwentnie przeprowadzonej przez Sartre’a tezy, że moralność de Valery, cynik i aferaista, stoi jeszcze nazywa nie wyżej od moralności środowiska, do którego trafił, środowiska burżuazyjnych polityków i pozostających na ich usługach wydawców antyradzieckiej prasy.

## ODSŁONA II

(Gabinet naczelnego redaktora „Soir à Paris”. Duże biurko, za którym usiedzi Palotina. Biureczko sekretarki, krzesła, telefon itd. Oświetlenie reklamowe „Soir à Paris”. Lustro. Na ścianach zdjęcia Palotina).

## JULES, SEKRETARKA

JULES (przeglądając swoje zdjęcie): Dobrze na nich wyszedłem. Jak myślisz?

SEKRETARKA: Mnie się to najbardziej podoba.

JULES: Weź pluskiewki. Przytniemy je do ściany.

(Rozmawiając, przypinają zdjęcie).

SEKRETARKA: Było zebranie Rady Nadzorczej.

JULES: Kiedy?

SEKRETARKA: Wczoraj.

JULES: I nie zawiadomili mnie?

Jakoś to wygląda podejrzanie? A co mówili?

SEKRETARKA: Lucien próbował podsłuchiwać, ale mówili zbyt cicho. Wychodząc prezes powiedział, że dzisiaj przyjdzie, żeby się z panem rozmówić.

JULES: Coś mi tu śmierzdzi, Fifi! Naprawdę śmierdzi. Ten stary kutas chce mnie wykończyć. (telefon).

SEKRETARKA: Halo, tak. Tak jest, panie prezesie. (do Jules’a): A co, nie mówiłam? Właśnie dzwoni. Pyta, czy może go pan przyjąć za godzinę.

JULES: Oczywiście. Skoro i tak muszę...

SEKRETARKA: Tak, panie prezesie! Tak jest, panie prezesie.

(kładzie słuchawkę)

JULES: Sknera! Skapieć! Kutwał (pukanie do drzwi). Co tam?

(drzwi się otwierają, wchodzi Sibiłot).

## Scena 2

SIBILOT, JULES, SEKRETARKA

JULES: To ty, Sibiłot? Właściwie czego chcesz? Mam dla ciebie najwyższe trzy minuty. (Sibiłot wchodzi). Siada.

(Jules nie lubi siedzieć przy biurku. Bez przerwy chodzi po pokoju).

No i co? Gadać.

SIBILOT: Przed siedmiu laty, szefie, postanowił pan przeznaczyć piątą na zwalczanie propagandy komunistycznej i uczynił mi pan zaszczyt powierzając jej redakcję.

Od tego czasu poświęciłem się całkowicie temu zadaniu. Mniejsza o to, że straciłem zdrowie, włosy, dobry humor... bo gdyby dobro sprawy wymagało żebym się stał jeszcze bardziej ponury i zgryźliwy, nie wahałbym się ani chwili. Jest jednak coś, z czego nie mogę zrezygnować bez szkody dla gazety.

To sprawa zabezpieczenia materialnego. Walka przeciw rozbiłaczom jednoci narodowej wymaga inwencji, taktu i wrażliwości. Aby działać na wyobraźnię czytelników, trzeba być — nie obawiam się tego słowa — nawet trochę marzycielem. Zalet tych nie jestem pozbawiony, ale jak mam je zachować, jeśli trapią mnie przyziemne troski. Jak stworzyć mściwy epigram, napisać jadawitą notatkę, znaleźć beztrosne słowa, jak odmalować wizję zagrażającą nam Apokalipsy i przepowiadać koniec świata, gdy buty przemakają, a nie stać mnie na to by je podzłować.

JULES: Ile zarabiasz?

SIBILOT (wskazując sekretarkę): Niech pan poprosi, żeby wyszła. (Jules patrzy na niego ze zdziwieniem). Bardzo pana proszę: dosłownie na minutkę.

JULES: (do sekretarki) Przynieś korektę pierwszą. (sekreterka wychodzi). Dlaczego nie możesz mówić przy niej?

SIBILOT: Wstyd mi się przyznać, ile zarabiam.

JULES: A co? Tak dużo?

SIBILOT: Tak mało...

JULES: Więc ile?

SIBILOT: Siedemdziesiąt tysięcy.

JULES: Rocznie?

SIBILOT: Miesięcznie.

JULES: Ależ to bardzo przyzwolita pensja. Nie rozumiem czego masz się wstydić.

SIBILOT: Wszystkim mówię, że zarabiam sto.

JULES: Więc mów tak nadal. Wiesz, poznałem ci nawet podnieść sobie do stu dwudziestu. Będą wtedy myśleli, że masz dzie-więćdziesiąt.

SIBILOT: Dziękuję, szefie... (po chwili) Czy nie mogiby mi pan tyle płacić naprawdę?

JULES: (poruszony) Sto dwadzieścia?

SIBILOT: Ależ nie! Dziewięćdziesiąt! Żona od pięciu lat przebywa w zakładzie, nie jestem już w stanie płacić za nią...

JULES: (puka się w czoło) Ona jest... (Sibiłot potakuje głową) Nieuleczalnie? (Sibiłot potakuje) Bie-

daku. (po chwili) A córka? Myślałem, że ci pomaga?

SIBILOT: Robi, co może, ale ona też nien-dzwyczajnie zarabia... A poza tym ma odmienne poglądy.

JULES: Ależ słuchaj, co mają pieniądze do poglądów?

SIBILOT: Bo widzi pan... ona jest postępowa...

JULES: Dobra, dobra... To jej przejdzie.

SIBILOT: Póki co, latam swój budżet moskiewskim złotem. Jak na zawodowego antykomunistę to jednak krepulacja.

JULES: Wprost przeciwnie. Spełniasz swój obowiązek. Dopóki to złoto jest w twych rękach, nie może szkodzić.

SIBILOT: Ale nawet z moskiewskim złotem ostatnie dni miesiąca to istny koszmarny.

JULES (tknięty podejrzeniem): Spójrz na mnie, Sibiłot. Spójrz mi w oczy. Prosto w oczy. Kochasz swój zawód?

SIBILOT: Tak, szefie.

JULES: Hm, a mnie, mój stary, kochasz?

SIBILOT: Tak, szefie.

JULES: Więc powiedz to.

SIBILOT: Szefie, kocham pana.

JULES: Powiedz to z większym przejęciem.

SIBILOT: Kocham pana.

JULES: Mówisz to jakoś miękko, nieenergicznie. Sibiłot, nasz dziennik, nasza praca, to akt miłości, pomost między klasami. Pragnę, żebyście pracowali tu z miłości. Nie trzymalbyś cię ani chwili, gdybym podejrzewał, że uprawiasz swój zawód jedynie z chęci zysku.

SIBILOT: Widzi pan, szefie, jeśli chodzi o miłość, to na piątę nie często mówiam okazję...

JULES: Mylisz się, Sibiłot... Na piątę miłość jest między wierszami. To właśnie z miłości do miłości walczyliśmy przeciw lajdakom, którzy chcą opóźnić zbratanie klas i nie pozwalają, żeby mieszczaństwo wchłonęło proletariata. To wielka misja! Znam takich, którzy pełnie nie jej uznaliby za swój obowiązek i byłiby dumni, że mogą to robić za darmo. A ty, ty, który masz szczęście służyć najsłabszemu, sprawie i w dodatku otrzymywać za to wynagrodzenie, ośmielasz się żądać podwyżki? (Sekretarka uraca z korektą). Zostaw nas teraz. (do Sibiłota): Z całą życzliwością rozpatrz twoją sprawę.

SIBILOT: Dziękuję, szefie.

JULES: Nic ci nie przyrzekam.

SIBILOT: Dziękuję, szefie.

JULES: Gdy poweźmę decyzję, to cię zawiadomię. Do widzenia, mój drogi.

SIBILOT: Do widzenia, szefie, dziękuję. (wychodzi).

## Scena 3

## JULES, SEKRETARKA

JULES (do sekretarki): Zarabia siedemdziesiąt kawałków miesięcznie i chce, żebym mu dał podwyżkę. Co ty na to?

SEKRETARKA (oburzona): Och! Jules (do sekretarki): Pilnuj, żeby ty jego nogę więcej nie po-stała. (Bierze korektę i przebiega ją wzrokiem): Och, och, och! (otwiera drzwi gabinetu): Tavernier! Perigord! Omówimy pierwszą! (Wchodzi Tavernier i Perigord, sekretarka wychodzi).

## Scena 4

JULES, SEKRETARKA, TAVERNIER, PERIGORD

JULES: Co się z wami dzieje, moje dzieci? Sprawy sercowe? Czy coś ze zdrowiem?

TAVERNIER (zdziwiony): Ależ nie!

PERIGORD (zdziwiony): Skądże?

JULES: Więc już mnie nie kochacie?

TAVERNIER: Och, Jules!

PERIGORD: Wiesz doskonale, że wszyscy cię uwielbiamy.

JULES: Nie, wcale mnie nie uwielbiacie. Zaledwie troszkę mnie lubicie, bo ja się daję lubić, ale mnie nie uwielbiacie. Nie tyle brak wam gorliwości, co zapachu. To właśnie moje największe nieszczęście. We mnie płonę ogień, a wokół mnie ciepłe kluski, nawet letnie...

TAVERNIER: Cóżemy uczynili, Jules?

JULES: Popsuliście mi pierwszą, wiepiając tytuły, z których kofy by się uśmieł.

TAVERNIER: A co mieliśmy dać, szefie?

JULES: O to się właśnie pytam, proponujcie! (milczenie). Zastanówcie się dobrze: Chcę mieć tytuły-bomby, tytuły atomowe! Już od tygodnia gnijemy w beczynności.

TAVERNIER: Jest przecież Maroko!

JULES: Ilu zabitych?

PERIGORD: Siedem-nastu.

JULES: Proszę! O dwóch więcej niż wczoraj. Na drugą. Tytuł: „Mar-rakesz. Wzruszające manifestacje

lojalności wobec Francji!” I pod-tytuł: „Zdrowe elementy tubylcze potępiają wywrotowców”. Czy mamy zdjęcie eks-sultana grającego w kręgle?

TAVERNIER: Jest w archiwum.

JULES: Na pierwszą. Włamać w środek. Podpis: „Jak widać: eks-sultan Maroka dobrze się czuje w swojej nowej rezydencji”.

PERIGORD: Wszystko to jeszcze mało.

JULES: Rzeczywiście. (zastanawia się) Adenauer?

TAVERNIER: Napyskował wczoraj na nas.

JULES: Zignorujemy! Ani słowa. Co z wojną? Jak tam dzisiaj?... Zima? Gorąca?

PERIGORD: Taka sobie...

JULES: Jednym słowem letnia... Jak wy! (Perigord podnosi palec) Masz tytuł?

PERIGORD: „Wojna się oddała”.

JULES: O nie, moje dzieci, nie. Niech się oddała gdzie chce, ale nie na pierwszą. Na pierwszą wojny się zbliżają. Co w Waszyngtonie? Nikt tam nie gledił? Ike? Dulles?

PERIGORD: Milczą jak zaklęci.

JULES: Co też oni robią? (Tavernier podnosi palec) Gadają!

TAVERNIER: „Niepokojące milczenie Ameryki”.

JULES: Nie!

TAVERNIER: Ależ...

JULES: Ameryka nie może niko-go niepokoić, ona uspokaja.

PERIGORD: „Uspokajające milczenie Ameryki”.

JULES: U S P O K A J A J A C E!

Ależ starszuku nie jestem tu sam: mam obowiązki wobec akcjonariuszy. Czy ty myślisz, że dam na pierwszą tłustym drukłem słowo „uspokajające”, tak, żeby je ludzie mogli z daleka zobaczyć? Jak ich z góry uspokoi, to po co mają kupować gazetę?

TAVERNIER: (podnosząc palec) „Niepokojące milczenie ZSRR”.

JULES: Niepokojące? ZSRR cię teraz niepokoi? A bomba H to co? Pokarm dla ptaków?

PERIGORD: Proponuję hiper-tytuł: „Ameryka się tym nie przejmie”.

A pod tym: „Niepokojące milczenie ZSRR”.

JULES: Drażniesz Amerykę, chłopcze. Chcesz się narazić?

PERIGORD: Ja?

JULES: Pewnie! Jeśli to milczenie jest niepokojące, to Ameryka robi źle, że się tym nie przejmie.

PERIGORD: „Waszyngton nie bierze tego zbyt tragicznie, ani nie lekceważy NIEPOKOJĄCEGO MILCZENIA ZSRR”.

JULES: A to co znowu? Tytuł artykułu, czy szarża dzikich stoni?

Na Boga! Gdzie tu rytym? Rytm! Przedziej, przedziej, przedziej! Gazety się nie pisze, gazetę się tańczy! Wiesz, jakby to zrobili Jankesi? „ZSRR — milczenie. USA — uśmiech”. Po prostu swing! Ach, że też nie pracują u mnie w redakcji Amerykanie.

## Scena 5

JULES, TAVERNIER, PERIGORD, SEKRETARKA

JULES: Czyż jest, moje dzieci, większa przyjemność niż świadczenie dobra? (naple) Och, och, och!

PERIGORD: (Zaniepokojony) Jules...

JULES: Cicho, dzieci. Czuję, że mi przyszedł pomysł.

PERIGORD: (do sekretarki) Czekaj, Fifi, czekaj! Nareszcie mam pomysł. (Cisza. Jules chodzi po gabinecie).

JULES: Jaki dziś dzień?

PERIGORD: Wtorek.

JULES: Chce, żeby co tydzień był dzień dobroci. Niech to będzie śro-da. Liczę na ciebie, Roger. Począwszy od piątku będziesz wynajdywał uciekinierów, uchodźców, niedobitki, sieroty nagie i bese... W sobotę ogłaszasz zbiórka, a w środę — jej rezultaty. Zrozumiałeś, chłopcze? Co nam szykujesz na najbliższą środę?

PERIGORD: No włącz... ja... może by bezdomnych?

JULES: Bezdomnych? Wyśmienicie! A gdzie mieszkają ci twój bez-domni? W Caracas? W Porto-Rico?

PERIGORD: Myślałem o naszych, w Paryżu.

JULES: Oszałamie?! Ci nieszczęśliwi muszą być ofiarami wyłączenia katastrof żywiołowych, inaczej prawdziwe uczucie unurzaz w blocie plugawych breśni o niesprawiedliwości społecznej. Pamiętajcie naszą kampanię pod hasłem: „Wszyscy są szczęśliwi”? Nie udało nam się wówczas w pełni przekonać o tym wszystkich. Wiek w tym roku zorganizujemy kampanię pod nowym hasłem: „Wszyscy są dobrzy”. I zobaczcie, wszyscy nam uwierzą. Oto co według mnie jest najlepszą propagandą antykomunistyczną. A teraz wracamy do tytułów, moje dzieci, do tytułów! Coście to proponowali?

TAVERNIER: Nic nie proponowaliśmy, Jules. Brak nam było konceptu...

PERIGORD: Poza siedemnastoma zabitymi Marokańczykami...

TAVERNIER: (przerywając)... dwoma samobójstwami, jednym cudem w Trouville, wymianą not dyplomatycznych, kradzieżą klejnotów...

PERIGORD: (przerywając)... czterema wypadkami ulicznymi i dwoma incydentami granicznymi...

TAVERNIER: (przerywając)... nie się nie zdarzyło.

JULES: Nic nowego? I wy narzekacie?! A czego wam trzeba? Zdo-

bycia Bastyli? Przysięgi w sali Jeu de Paume? Siuchajcie, dzieci. Moja gazeta jest organem rządowym i nie do mnie należy pisanie historii, skoro rząd uporczywie nie chce jej tworzyć, a opinia publiczna nie ma mu tego za złe. Każdy niech robi swoje. Historię wielkich wydarzeń zostawmy historykom. A sprawy codzienne — gazetom. Sprawy codzienne zaś są sprawami odwiecznymi, są przeciwieństwem nowego. To, co się co dzień powtarza od stworzenia świata: zabójstwa, kradzieże, uwodzenie nieletnich, piękne gesty, nagrodzona cnota... (telefon) Co tam?

SEKRETARKA: Lancelot, szefie.

JULES: Halo? Och! Ach! O której? Dobrze, dobrze (odkłada słuchawkę) Macie tytuł moje dzieci: „Georges de Valera uciekł”.

PERIGORD: Ten oszust?

TAVERNIER: Ten ze sprawy pięćdziesięciu milionów?

JULES: We własnej osobie. Geniusz naszego stulecia. Umieściecie jego zdjęcie na pierwszej obok mo-jego.

TAVERNIER: Dobro i Zło, szefie.

JULES: Zarówno oburzenie, jak i rozczulenie, to uczucia wpływające na trawienie. Nie zapominać, że nasz dziennik wychodzi po obiedzie. (telefon) Co? Co takiego? Nie! Brak szczegółów? (Odkłada słuchawkę) Do diabła! Do diabła!

TAVERNIER: Schwyłano go?

JULES: Nie! Ale dobre tytuły zawsze „chodzą” parami. Przed chwilą było nam ich brak, a teraz mamy aż za dużo.

TAVERNIER: A co się stało?

JULES: Sowiecki minister spraw wewnętrznych znikł.

PERIGORD: Niekrasow? Siedzi?

JULES: Nie, to jeszcze lepsza historia. Podobno wybrał wolność.

TAVERNIER: Czy są szczegóły?

JULES: Prawie żadnych i to właśnie mnie zdumiewa. Nie było go w operze w zeszły wtorek i od tego czasu nikt go już nie widział.

TAVERNIER: Skąd ta władność?

JULES: Z Reutersa i AFP.

TAVERNIER: A co TASS?

JULES: Milczy.

TAVERNIER: Hm...

JULES: Łatwo powiedzieć „Hm”.

TAVERNIER: Więc co? Co dajemy? Niekrasowa, czy Valera?

JULES: Niekrasowa. I tytuł „Niekrasow znikł”. A pod tym: „Sowiecki minister spraw wewnętrznych podobno wybrał wolność”. Macie jego zdjęcie?

PERIGORD: Znasz je, Jules. Wygląda jak piret. Nosi opaskę na prawym oku.

JULES: Umieściecie je obok mojego zdjęcia, aby podkreślić kontrast między DOBREM i ZŁEM.

PERIGORD: A zdjęcie Valery?

JULES: Na czwartą! (telefon) Je-żeli to znowy tytuł, oszaleję!

SEKRETARKA: Halo. Tak, tak, panie prezesie. (do Jules’a) Dzwoni prezes Rady Nadzorczej.

JULES: Niech przyjdzie ten kutas.

SEKRETARKA: (do telefonu) Tak, panie prezesie. Zaraz, panie prezesie. (odkłada słuchawkę).

JULES: (do Taverniera i Perigord) Zmykajcie, dzieci. Do zobaczenia. (Perigord i Tavernier wychodzą. Jules z zakłopotaniem przygląda się swojej marynarce, po chwili wahańta wkłada ją).

## Scena 7

JULES, MOUTON, SEKRETARKA

JULES: Dzień dobry, drogi prezesie.

MOUTON: Dzień dobry, kochany Palotina. (siada) Niechże pan siada.

JULES: Wolej raczej nie siadać, jeżeli to panu nie przeszkadza...

MOUTON: Owszem, nawet bardzo. Jakże mam z panem mówić, jeśli muszę bez przerwy za panem wodzić wzrokiem?

JULES: Jak pan sobie życzy. (siada)

MOUTON: Chcę panu zakomunikować wspaniałą wiadomość: dzwonił do mnie wczoraj minister spraw wewnętrznych i dał mi do zrozumienia, że ma zamiar powierzyć nam wyłączność ogłoszeń o pracy.

JULES: Ogłoszeń o pracy? Ależ... nawet nie marzyliśmy o tym...

MOUTON: Nieprawdą? W związku z tą rozmową pozwoiliem sobie zwołać Radę Nadzorczą i wszyscy nasi przyjaciele zgodnie podkreślają wyjątkowe znaczenie tej decyzji. Będziemy w stanie podnieść poziom dziennika, obniżając jednocześnie koszty.

JULES: Machniemy sobie dwadzieścia kolumn! Zakasujemy „Paris Presse” i „France Soir”!

MOUTON: Pierwsi zaczniemy re-produkować barwne zdjęcia.

JULES: A czego minister żąda w zamian?

MOUTON: Ależ, co znowu, drogi przyjacielu! Nic. Absolutnie nic. Faworyzowanie — proszę bardzo, jeżeli to dowód uznania zasług, ale jeżeli chcą w ten sposób kupić nasze sumienia — za nic w świecie. Minister jest młody, rzutki, pełen sportowego ducha: chce ożywić swych kolegów, stworzyć prawdziwie nowoczes

# KRYSKA - BRZYTEW

(Fragment opowieści)

Zaczepiałam kogo, co? Zaczepiałam...

— A na meza tam może pikowalaś? — denerwuje się milicjant.

— To już „obywatelka” mi się nie należy? Tylko „ty”. Co, tylko „ty”?

— No to na kogo tam obywatelka czekała? — młody, przystojny plutonowy dyżurny uśmiecha się leniwie. W istocie rad jest nawet z chwili rozrywki. Wieczór nudny jak rzadko kiedy na tym posterunku. Nawet warcabu niektknięte na stole w kacie...

— Dla zdrowia spacerowałam — dziewczyna woła, guzik po guziku, rozpina wyszarganą jesionkę. Nagle, jakby ją prąd zatrząsał, rozrywa polę palcami. Wypchnięty brzuch spiera triumfalnie o barierkę odgradzającą od niej dyżurnego podoficera. — O, na kogo czekam! O, na kogo! — krzyczy przeraźliwie.

Plutonowy gwałtownie odsuwa się krzesłem do tyłu jakby w obawie, że ciężarna w tej chwili zabiera się do rodzenia. Zmieszany mruży oczyma długimi rzęsami, oczy, ale za moment uśmiecha się filuternie: spostrzegł stanowcze potwierdzenie zarzutów — przekazał mu je ruchem głowy stojący za dziewczyną milicjant, który sprowadził ją z ulicy.

— Dokumenty — plutonowy wymawia słowo cicho, jakby już perswadował. — No, proszę, obywatelko... — ponagliła i zaraz pełen satysfakcji uśmiech umacnia się w kącikach przydymionych wąsikiem warg. Zgadza się. Wszystkie „cho-dza” bez papierów.

Ukryty za plecami dziewczyny milicjant skośnym spojrzeniem ocenia jej brzuch. Wysuwa przed pierś pięć brudnych palców lewej ręki dostawia szósty z prawej. Podoficer potwierdza niedostrzegalnym dla tamtej skinięciem powiek.

Widywano już tu takie — w szóstym miesiącu.

Jest chwila milczenia. Dziewczyna niby to grzebie w jakiejś torebczyni, niby obszukuje kieszenie — gdzie te dokumenty? Robi to leniwie i bez przekonania, ot tak — z przyzwyczajenia. Już ich nie ma. Obliżuje obłożone szminką grube wargi. Wzrusza ramionami. W pokoju jest ciepło. Nawet lepiej czuje się teraz, kiedy rozpięty płaszcz zwisa z niej bezwładnie, wystawiając na światło stojącą na biurku lampy nierzówną „sztukę” z ciemniejszego materiału jakąś widocznie poszerzyła jesionkę od we-wdnątr, od strony podszewki, której nie starczyło na zasłonięcie łataniny. Patrzy nieruchomo w jeden kąt obszernego pokoju dyżurki, jakby zahipnotyzowały ją ogromne wplecione ze słomy buciory, stojące opodal stojaka na karabiny.

Plutonowy sprawdziwszy czy w małym porcelanowym czajniku jest esencja, włącza kontakt maszynki stojącej na okiennym parapecie. Ostrożnym wstrząśnięciem utwierdza swą wiedzę o zawartości czajnika dużego, aluminiowego, sęga po ółdówek. Ostrzy go pilnie jakby nie wiem co miał do spisywania poza imieniem zatrzymanej, jej nazwiskiem i wydzurczonym adresem... Naraz przerywa swoje zajęcie i podnosi głowę. W tej chwili i drugi milicjant obraca się ku drzwiom, tylko dziewczyna tkwi nieruchomo, jakby zbyt cenila sobie barierkę, która zdaje się stworzona do tego by wesprzeć o nią brzuch. Ale za moment i ona obraca się całym ciałem. Od strony klatki schodowej niesie się jakiś rumor i krzyki.

— Co ja... Co ty mnie... Jeszcze ja ci... — coraz wyraźniej dochodzi zdyszany wysoki głos kobiety i stanowiący ciężki łomot podkutek buciorów — za chwilę są. Milicjant zdejmując czapkę i poła ogromnego kożucha obciera pot z wewnętrznej skórzanej wypustki. Ona dyszy ciężko oparta o ścianę, jeszcze cała podana ku swemu przesładowcy, ale już świadoma przegranej... Jest nieduża, szczupła, porządny płaszcz ma kołnierzą naderwany — widocznie w szarpaninie z milicjantem.

— Awanturowała się... Pijana — wyłożył tamten swoje racje.

Dziewczyna przełknęła ślinę, chciała cicho odchrząknąć, ale porwał ją kaszel. Gniewnie poprawiła kołnier.

— O jakiś zegarek szło...

— Ty — zasyzczała spod ściany nowosprowadzona mrużąc czarne oczy. Zachlapaną szminką wargi obnażyły wściekle, nierówne zęby.

— Krysiu... — cicho poprosił o spokój plutonowy.

Obróciła się jak na sprężynie. Ponała. Skinięła mu głową — śmiesznie, bo jakoś normalnie, jak znajomemu, spotkanemu przypadkiem na ulicy.

— Co za zegarek? — spytał plutonowy milicjanta.

— Rozznąć się nie mogłem... Wychodziło jakby on jej miał rąbnąć zegarek...

— Kto? — spytał już niecierpliwie plutonowy.

— No, jakiś gość — milicjant odsunął się śpiesznie, chwytając kątem oka ruch tamtej spod ściany.

— Krzyczała coś jakby tamten gość ukradł jej zegarek. „Oddawaj Longina”, czy coś takiego. Na środku Alej. Tom podszedł... Pijana przebież...

— A taksówek pilnować nie łaska, obywatelu, zamiast do kobiety... zaczęła ona wściekłym szeptem skubiąc go palcami; za lakierowaną o-paskę na rękawie, jaką noszą milicjanci w służbie regulacji ruchu.

— No i co, gdzie ten gość? — indagował plutonowy.

— Gdzieś się wykręcił... Zwiła... — pokajał się milicjant na groźne spojrzenie zwierzcchnika i szybko, jak rehabilitujący go atut, wyciągnął z kieszeni kożucha podłużne etui. Położył na barierce.

Plutonowy spojrzal pytająco. — Brzytwa. Wyjęła... krajać się chciała...

W tej chwili w dziewczynie zaszła jakaś zmiana. Odrzućła proste włosy szesane charakterystycznie na jedną stronę i wyciągnęła rękę w kierunku leżącego na barierze przedmiotu...

— Zartowałam, a ten burek... — nawet nieżyłchwle słowo pod adresem milicjanta okraszane było jakimś pokornym uśmiechem.

— Krysiu — ostrzegł ją plutonowy pilnie sprzątając pudełeczko z barierki. — Krysiu, ty i jakiś zegarek, co ja słyszę...

Nagle dziewczyna opuściwszy zbawienią ścianę ruszyła chwiejnie ku plutonowemu, celując na uchylone drzwi w barierze.

— Oddaj! Ty... Kleją pod nosem straszliwym niekończącym się wyzwiskiem.

— Kryśka! — krzyknął ostrzegawczo plutonowy. — Do celil — zadysponował błyskawicznie.

Milicjant w rozpiętym kożuchu i drugi, milicjant dotychczas jak niezauważany kibic, powlekł ją przez ciemny korytarz. Od razu zmiełła w ich rękach, jakby zasnęła.

— Plutonowy nie miał szczęścia. Le-dwo dowolał się wojewódzkiej Komendy M. O. by przekazać im o-trzymaną od jakiegoś szofera wiadomość o kraksie samochodowej przed rogałką Okęcia, gdy na posterunku — o czwartej ranol — pojawił się prokurator. „Chodzik” był z tego młodego znany. Dziwił się nie było czemu, bo nie po raz pierwszy zaglądał po nocy („co słycać?”) — choć nikt mu za to nie płacił.

Ale też do tej pory nie trafiał na sytuację, żeby jeszcze na biurku pętały się kawałki pokrawawionej waty i gazy, a w celi kobiecej był mroź, bo szyba rozbита ze szczeni-tem. Przez sekundę może po owym: „co słycać?” — wahał się plutonowy, czy nie rzucić gotowego „a nie” — nim nie ścięła go refleksja, że ten i tak wszędzie trafi.

— Mieliśmy awanturę z jedną.

— No.

— A taka tam — kurwa, Kryśka „Brzytew” — szybę w celi zatrzymała zbiła, krajała się szkłem. Dopiero co lekarz poszedł... — wściekle zmiołł łokciem na podłogę strzępki waty i podniósł się z za biurka.

Miała czternaście lat gdy zamknęła oja w nieheblowanych deskach. Miała jeszcze czternaście lat, kiedy matka kazała jej chodzić do kina na ostatnie seanse: o tej porze odwiedzał ją zawsze przystojny mechanik ślusarski mieszkający w podwórzu. Nawet przedmioty rzadko już ojca przypominały. Wiele rzeczy znikło, świąteczna marynarka poznała już na „nowym tatuu”. W tajemnicy przed matką chroniła jedną pamiętkę: zamkniętą w piórniku brzytwę ojca... Miała jeszcze czternaście lat, gdy mechanik sprowadził się do ich pokoiku.

Pierwszego zaraz ranka, po nocy w czasie której budziła się z płaczem, ocknąwszy się, spostrzegła, że „on” dobrał się do jej piórnika i stoi przy oknie z twarzą namydloną, w rękę trzyma brzytwę ojca. Skoczyła na ratunek. Zdażyła zawołać „nie dam!” i odleciała trącona łokciem ręki, w której trzymał już otwarte ostrze.

Kiedy doszła do tego miejsca opowiadania uniosła głowę — dotyka miejsca nad skronią po stronie, na którą „jak dziwacznie szczerze włosy. Wreszcie poduszczką wskazującego palca odnajduje wcięta kreskę, drugą.

Miała czternaście lat, kiedy rankiem wrześniowego dnia 1942 roku wybiegła skrwawiona na ulicę. W zaciśniętej piastce unosiła ocalałą od profanacji pamiętkę.

Najgorszy ten pierwszy tydzień — noclegi na dworcu. Kto jej pomoże? Żeby nie te dwie prostytutki kłócące się jeszcze na dodatek, która ma z nią isć na obiad, zmarzłaby tam albo kipnęła z głodu na dworcowej ławce.

— I ten pierwszy... W pamięci wstaje miejski wieczór okupowanej Warszawy.

Kryśka, osłabiona wybuchem, wpływem krwi, wracającym do głowy alkoholem nie wie — wspomina — czy mówi o tym temu obcemu człowiekowi...

Wieczór... Młglista obietnica zmierzchu, mroczniejsze czerwień nieba nad murem getta odgradzającym boczną uliczkę. Kobiety jeszcze w etnicznych sukniach... Ta chwila ulubiona kiedy kontury przedmiotów

wtpiają się lepiej, bliżej we wszystko... Chwila, kiedy kobiety stają inaczej, ona już wie jak...

— Miałam czternaście lat... — Jakaś czkawka urywa słowa, ale pamięć przywraca tę ulicę i moment.

Mała żydowska dziewczynka. Szczurek 12-letni z mysimi warkoczykami związanymi sznurkiem czai się w bramie. Kryśka już widzi o co chodzi. Mur odgradzający getto ma u dołu trzy, cztery wybrane cegły — w ten mroczny otworek tamta chce przemknąć z łupem, a mikroskopiiny czarny woreczek to rezultat wielogodzinnej żebraniny, gdzie ryzykuje się życie, to wynik łowienia po śmietnikach, gdzie nie-raraz zdarza się zostać jak śmieć...

Czternastoletnia Kryśka — „aryjka” przez te dwa tygodnie poznała życie na tyle, by nocując na dworcu, czy w parku, gdy niespodziewany „klient” wyrzucił ją od kolejnej opiekunki, nie stracić nawet na moment wiedzy o swoim uprzywilejowaniu w stosunku do takich, jak to, stworzeń. Kryśka rozgląda się. — Biegnij — nie ma nikogo — radzi półgłosem. Rzeczywiście pusto — ani żandarma, ani żołnierza, ani nawet nikogo z „ulicy”, tylko jakiś pan w kapeluszu i z la-sieczką. Żydoweczka tuli głowę w ramiona, kosym, jeszcze nieufnym spojrzeniem dziękuje za pomoc, i wyrwa w stronę muru. Już cisnęła worek blisko otworu, by móc z tamtej strony sięgnąć go ręką, już widać jej chude bosc nogi... Czegoż chce ten pan, który teraz...

Kryśka podbiegła. Pan stał pochylony trzymając uciekinienkę uwięzioną w wąskim wiazie za nogę — chuda, taka, jakiej zdawałoby się nie ma naprawdę — to małe dzieci rysujące człowieka obdarzając go takimi ciągniętymi jedną kreską kończynami. Mrucząc coś półgłosem szarpał co sił, wypięty zadem w stronę nadbiegającej Kryśki...

— Co pan robi? Niemcy, Niemcy! — chciała go postraszyc naiwnie, po dziecięcemu, zapominając, że to „dla ludzi” najgorsze, dla niego nie może znaczyć zlego. Obejrzał się przez ramię. Szarpał mocniej, aż rozdzielający krzyk, pisk przeleciał nad murem. Kryśka szpicem małego bućka kopnęła w wypięty zadek. Raz, drugi. Pan puścił tamtą, złapał ją ręką za włosy. Ugryzła.

I naraz, gdy czerwony ze wściekłości i wysiłku wykręcał jej ręce — jakoś zlądnął. Nie puszczając jej z twardego uchwytu lewej dłoni, prawą poprawił krawat, otrząpiał kłapy marynarki.

— Cóż ty, mała, tak Żydów bronisz? — zaczął ni to surowo, ni łaskawie. Pchnął. Ruszyli razem w stronę Marszałkowskiej. Kryśka kombinowała ucieczkę, ale w międzyczasie odpowiadała grzecznie na pytania. — Nigdzie nie mieszka... — Tak, zmarli... Nie, nie jadła... Pan puścił ją przodem do cukierniczego sklepu. Stanęła pod ścianą by się wykryć za jego plecami gdy tylko podeszł do lady, ale on podchwycił jej spojrzenie, grzecznie, tu przy ludziach, pódśunął ją ku oszklonej gablocie z ciastkami.

Po pół godzinie siedziała naprzeciw niego w ładnym pokoju. Obok przyniesionych ciastek stała butelka wina. Kryśka zrozumiała wszystko. Do rana nie zasnęła, leżąc na brzegu tapczanu. Ledwo świt wynurzył z okna krzyż okiennej ramy była w poznanej wiecznej złości. Rozpłakała się bez lez suchym słochem widząc na kaflowej posadzce ślady własnej krwi. Myła się pod zimnym prysznicem. Wycierała się po 10 razy wchłotnym ręcznikiem. Już stała ubrana drząc i patrzyła — jak głodny pies w kość — na gazowy piecyk. Obejrzała się raz jeszcze, uchyliła drzwi do pokoju. Teraz już widziała wyraźnie kontur okrytego kołdrą ciała. Pano-tło przy łóżku...

Myśli leciały szybko. Gonił je szepetem. Mówi jak odkrył kurek gazu. Mówi: słyszałam jak syczy i parzyłam na zamek — taki amerykański „Yale” — pchnę, a już jestem ubrana „fertig” i stoję tak na schodach... jeszcze nacisnę milimetr i zginął... choćbym chciała ratować — zamknęły jak w trumnie.

Ale wróciła... zakręciła gaz i rozbeczała się ze złości, że tchórz. Wtenczas spostrzegła stojące na półleczce, zablakane tu pudełko pluskiewek. Nagle — pamięta — uśmiechnęła się. Ostrożnie wysypała je na dłoń i na palcach wsunęła się do pokoju...

Gdy w południe spotkała w jadalni Helkę Aniolek, u której ostatnio kwaterowała, podeszła do niej i jakoś pewnie, nie po swojemu, usiadła przy stole.

— Od dziś dnia mogę ci pomagać — oznajmiła szorstko...

Pytania zbyła niechętnie. Niechętnie powiedziała, że pieniądze sama wzięła mu z portfela. Wymieniła sumę. — Chyba nie za dużo? To za pierwszy raz. Co, nie okradłam go? — dopytywała się zatroskana, a z nagle, gdy tylko Helka skinięła głową i odwróciwszy twarz wytarła nos, Kryśka ożywiła się i zaczęła ze śmiechem opowiadać, jak przed wyjściem wysypała „jemu” półbuty pluskiewkami...

— Co, nie okradłam... — powtarza ciszej i ręką, nie patrząc, szuka pa-

pierosów na gładkim blacie biurka. W pewnej chwili zamyślenie ścina jej gest i nieduża wąska dłoń zostaje nieruchoma na szklanej tafli. Nad kostką wyraźnie odcina się biały bandaż.

— I on, taki burek od ruchu drogowego, będzie mi opowiadał, że ja ukradłam Longina — wydrzeżnia niechętnie zamyślona tak, że rękę leżącą w pobliżu poszukiwanego pudełka z papierosami trzyma nieruchomo.

On nie pyta o nic. Zapala zapal-kę. Ona jedną ręką sprawnie wyluskuje „Sporta”. Kiedy tak patrzy na niego zmrużonymi oczami, on cofa wzrok. Dziewczyna odgarnia włosy.

— To przez niego tak jest — mówi szeptem — przez niego.

Był niedzielny ranek gdy wyszła z leżającej na bocznej uliczce willi w Piastowie. Nie pamiętała wcale jak się tam znalazła poza tym, że nocą „z klientem” jechała taksówką. Do pociągu godzina czasu... Na boisku leżącym w pobliżu stacji mecz. Wystrojeni na niedzielę ludzie. Nie razila nikogo w swojej letniej sukience. „Niedzielny” sposób malowania się kobiet nie różnił się od jej „powszedniego”. Sta-nęła za bramką drużyny grającej w niebieskich kostiumach. Była chyba jedyną osobą niezorientowaną zupełnie kto, gdzie, po co kopie tę piłkę. Czemu ludzie patrzą na nią tak wrogo gdy woła „brawo!” w momencie bohaterskiej obrony bramkarza... Ale za to on, miły szczipły blondyn o dziewczęcej nie-co twarzy, uśmiecha się do niej z podziękowaniem. Widzi go poprzez krótką napiętą na bramce siatkę o szerokich okach. Znowu obronił. Śmieszny, ogląda się na nią. Zatrzepotały jej samotne naiwne oklaski. Po gwizdku końcowym pódśedł do niej. W ten sposób przyszedł w jej życie — w najdziwniejszy czas. Nigdy nie chciała spotkać się w Warszawie. Przyjeżdżała do tego jego Milanówka. Bo jego właśnie stamtąd przyniosła na ten mecz do Piastowa. Najpiękniejsze miesiące w jej życiu. Nie, nie tylko w jej życiu. W ogóle w życiu jakiegokolwiek kobiety... Było jak na Capri, albo pięknie w tym Milanówku. Dla niego, który nie wiedział o niczym, żeby się nigdy nie dowiedział, rzuciła swoje zajęcie. Od miesiąca pracowała jako laborantka w szpitalu, męcząc się, jak da radę utrzymać 13-letniego brata samego po śmierci matki jak palec...

Któregoś wieczora oświadczył jej się, pijany, płacząc, że „krzywdził” ją tyle miesięcy. Wyznała mu, pijana, że nie, że nie może się żenić — nie może. Wyznała... — jeszcze teraz rękami zasłania twarz.

Nie widziała go dwa tygodnie, aż ją jakimś cudem odnalazł w Warszawie. Ułożyło się niby wszystko jak najlepiej. Znowu na niedzielę przyjechała raz i drugi do niego. Ale właśnie wtedy po raz pierwszy „po-zyczył” od niej jakąś niewielką sumę. Po tygodniu znowu. Było to już wszystko co jej zostało z odożonych dla brata pieniędzy. Kiedy poprosił znowu i powiedziała, że nie ma, przecież teraz jako laborantka... — uśmiechnął się. Przez ten uśmiech znowu poszła na ulicę. Wówczas co-raz częściej zaczął pojawiać się w Warszawie w jej sublokatorskim pokoiku na Solnej. Wymówił mu pracę w fabryce, gdzie był jakimś kalkulatorem, czy czymś równie ważnym. Zrozpaczony zamieszkał u niej gdyż według jego własnych słów „nie miał czego w Milanówku szukać...” Podejrzewała, że jego szukają. Już po miesiącu zrobił jej awanturę o pieniądze. Gdzie wydaje? Na co? Przecież musi więcej zarabiać niż przynosi... I tak był dobry, że on, inteligentny, chciał się zadawać z taką... Zaczął pracować w administracji MHD. Nie widywała go prawie, pracując na „nocnej zmianie” jak — gdy będąc w humorze — łaskawie z nią żartował. Najczęściej wówczas gdy poszło mu w niedzielę na wyścigach. Opowiadał, że wnet zrobi koniec „raz na zawsze” z jej męką, by po paru dniach splukawszy się bić ją i rewidować torebkę w poszukiwaniu pieniędzy.

Tyle lat. Jak to się stało, że uzbierało się tyle lat? Pod jesień zaczęły się kłopoty. Jakies niedokładności bilansowe... Chodził blady i zły. Nienawidziła go już, ale jeszcze bardziej nienawidziła i bała się samotności, zupełnej samotności. Wreszcie jakoś się rozjaśnił. Wyglądało na to, że ktoś tam w jakieś kontroli „dał się urobić”, tylko... Za tydzień ów „ważny” ktoś ma imieniny. Złoty Longin, oto czego potrzeba na tę okazję.

Prawie nie wracała do domu. W sobotę przyszła ze złotym zegarkiem. Cieszył się jak dziecko. Od czasu Milanówka nie pamiętała go takim. W niedzielę po południu jeszcze spała gdy wrócił z tych imienin. Kazał jej wstać. Za godzinę ów ktoś z władz obdarowany Longinem i jeszcze ze dwóch kolegów, przychodzi na poprawiny. Zerwała się podniecona i szczęśliwa, że wystąpi oto jako gospodyni domu, by usłyszeć po kilku minutach zdziwione pytanie czemu wkłada czołenka na francuskim obcasie, kiedy

— Przecież to są porządni goście, co ty sobie wyobrażasz? — Oburzył się wreszcie, zrozumiawszy, że ona zamierza pozostać. Szczekając zębami ze zdenerwowania oznajmiła, że nigdzie nie wychodzi. Może sobie swych gości przyjmować na schodach, jeśli nieodpowiednie jest jej towarzystwo... Kłócili się z pół godziny. On coraz częściej rzucał jej wymysły spod okna jak uwiązany do parapetu. Co chwilę wyglądał na ulicę. Wreszcie oszalał zupełnie.

— Idą. Słuchaj, bo jeśli nie wyjdiesz... — Ale ona ponaglona jego przerażeniem już szukała płaszcza. Przykucone jeszcze przy toalecie i nerwowo czegoś szukała. Wyszarpnęła skądś podłużne etui. Zatu-potała na schodach. Widząc jakichś trzech certujących się w bramie mężczyzn, chciała wyminąć ich szybko, lecz nagle skreśliła i pędem wbiegła w położone naprzeciwko drzwi drugiej klatki schodowej. W człowieku, którego z szacunkiem puszczali przodem dwaj kompani, poznała swego spotkanego pod gettem pierwszego „znajomego” z lat okupacji „pana Ludwika”. Teraz gdy stała wulona w zimny mur przysięgała, że na przegubie jego ręki widziała „swego” złotego Longina.

Oparła głowę o mur. Naszła ją taka fala młodości, że przez moment myślała, że upadnie. Słyszała jak weszli i wesoło ruszyli po schodach na górę.

O jakimś to był zły, jaki wściekły wieczór!

Upiła się. Sama. Ale to tak, jak chyba jeszcze nigdy. Gdy szła nie wiedzieć gdzie, odpędzając zaczepiających ją mężczyzn, na rękę które-gos spostrzegła złoty zegarek. I zaczęło się. Dużo wiedziała co robi czy co mówi, a raczej krzyczy? Wołała żeby oddał. Napatoczył się milicjant z regulacji ruchu.

— Taksówkę się zcepała! Albo w górę patrz, — o, — wskazywała za chwilę chwiejnym palcem na sunące po niebie światelka samolotu — to twoja służba, a od człowieka odstąpi! — pouczała go dobroliwie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu podłużnego etui. Namacała palcami. Byli sami na przestrzeni rozgrabianej rumowiska Marszałkowskiej i Alei Jerolimskich... Tu, właśnie w tym miejscu na środku miasta zostanie Kryśka Brzytew — majacząca pijanymi palcami odszukując futerał, który chował pamiętkę po ojcu. Pieściła chłodną oprawkę, idąc jezdnią obok prowadzącego ją milicjanta ostrożnie odsuwała rękaw swego płaszcza.

— No pójdźcie, pójdźcie! — pódśedził ją młodziutki chłopaczek, dość niezręczny jeszcze na służbie.

— Mówi się pójdźcie, ty burku! — pouczała go cicho. Rozgniewany ujął ją pod pachę. Kiedy pijana, wyszarpnęła mu się a drugą ręką jąla wygrzebywać coś z torebki przychwylił ją przysłonięciem i wykręcił dłoń...



Rys. A. Wahl

II

na ulicy błoto? Oszolomiona stała z wyciągniętą ku przodowi nogą, patrząc to na niego, to na swoją stopę.

— Przecież to są porządni goście, co ty sobie wyobrażasz?

Oburzył się wreszcie, zrozumiawszy, że ona zamierza pozostać. Szczekając zębami ze zdenerwowania oznajmiła, że nigdzie nie wychodzi. Może sobie swych gości przyjmować na schodach, jeśli nieodpowiednie jest jej towarzystwo... Kłócili się z pół godziny. On coraz częściej rzucał jej wymysły spod okna jak uwiązany do parapetu. Co chwilę wyglądał na ulicę. Wreszcie oszalał zupełnie.

— Idą. Słuchaj, bo jeśli nie wyjdiesz... — Ale ona ponaglona jego przerażeniem już szukała płaszcza. Przykucone jeszcze przy toalecie i nerwowo czegoś szukała. Wyszarpnęła skądś podłużne etui. Zatu-potała na schodach. Widząc jakichś trzech certujących się w bramie mężczyzn, chciała wyminąć ich szybko, lecz nagle skreśliła i pędem wbiegła w położone naprzeciwko drzwi drugiej klatki schodowej. W człowieku, którego z szacunkiem puszczali przodem dwaj kompani, poznała swego spotkanego pod gettem pierwszego „znajomego” z lat okupacji „pana Ludwika”. Teraz gdy stała wulona w zimny mur przysięgała, że na przegubie jego ręki widziała „swego” złotego Longina.

Oparła głowę o mur. Naszła ją taka fala młodości, że przez moment myślała, że upadnie. Słyszała jak weszli i wesoło ruszyli po schodach na górę.

O jakimś to był zły, jaki wściekły wieczór!

Upiła się. Sama. Ale to tak, jak chyba jeszcze nigdy. Gdy szła nie wiedzieć gdzie, odpędzając zaczepiających ją mężczyzn, na rękę które-gos spostrzegła złoty zegarek. I zaczęło się. Dużo wiedziała co robi czy co mówi, a raczej krzyczy? Wołała żeby oddał. Napatoczył się milicjant z regulacji ruchu.

— Taksówkę się zcepała! Albo w górę patrz, — o, — wskazywała za chwilę chwiejnym palcem na sunące po niebie światelka samolotu — to twoja służba, a od człowieka odstąpi! — pouczała go dobroliwie grzebiąc w torebce w poszukiwaniu podłużnego etui. Namacała palcami. Byli sami na przestrzeni rozgrabianej rumowiska Marszałkowskiej i Alei Jerolimskich... Tu, właśnie w tym miejscu na środku miasta zostanie Kryśka Brzytew — majacząca pijanymi palcami odszukując futerał, który chował pamiętkę po ojcu. Pieściła chłodną oprawkę, idąc jezdnią obok prowadzącego ją milicjanta ostrożnie odsuwała rękaw swego płaszcza.

— No pójdźcie, pójdźcie! — pódśedził ją młodziutki chłopaczek, dość niezręczny jeszcze na służbie.

— Mówi się pójdźcie, ty burku! — pouczała go cicho. Rozgniewany ujął ją pod pachę. Kiedy pijana, wyszarpnęła mu się a drugą ręką jąla wygrzebywać coś z torebki przychwylił ją przysłonięciem i wykręcił dłoń...

Nagle jakby się ocknęła. Nie wiedziała co on wie, co mu powiedziała? Czy wszystko co przeszło przez głowę?

— Czy wróci? No, do tamtego, alfonsa, czy wróci?

Nawet wzruszyć ramionami nie warte, takie głupie to pytanie.

— A gdzie pójdę?

On nie odpowiada, grzebie się z tymi zapalkami jak staruch jakiś. Kryśka nie wie czemu spieszy się do jego odpowiedzi.

— No, gdzie mam pójść, żebym mogła żyć jak człowiek? — ponosi ją jeszcze wódka.

Czerwony odbiask na zachodzie jeszcze bardziej wyczernia ziemię odwróconą na płeć przez surowe plugi a teraz kisaną w mrocznym grzęzawisku. Z naprzeciwna łomocę ciągnik. Smuga dymu z traktorowej dyszy wlece się poziomo nad ziemią. Wiatr. Heniek zjeżdża jednokółką na bok rozlanej drogi i widzi jak traktor nurza się maską w ogromnym rozlewisku błota by wygrzebać się mozolnie — przez chwilę koła buksują z wytężeniem, lecz zaraz maszyną z rykiem motoru wyszarpuje się z błota i trafia na twardy grunt. Dopiero wówczas siedzący na siodełku „Murzyn” woła coś do furmaniącego kolegi i Lachno, nie słysząc ani słowa, macha co niego ręką. W tym momencie spostrzega, że tamten z obu stron siodełka przymocowane ma duże opatulone brezentem kosze. Lachno sam nie wie czemu odwraca szybko wzrok i popędy konia. Chowa głowę w nastawiony kołnierzą jakby chciał zaznaczyć, że niczego nie zauważył i nie słyszał, ale cisza alarmująca dzwoni mu w uszach. Za późno. Ogląda się i widzi jak „Murzyn” chłapie ku jego wózkowi. Ciemny maszyn traktora stoi nieruchomo, wyciągając ku niebu opustoszałe siodełko.

— Chleb wiozę dla was. A ty po co do Turli?

— Chleb? — zyskuje na czasie Heniek i już teraz wie na pewno, że i tak pojedzie dalej...

— Jak chleb, to gnaj, bo tam u nas czekaają...

— Cmoką obojętnie na konia i zostawia zdziwionego kolegę, stojącego do połowy cholew w lepkiej mazi.

Do Turli jest osiem kilometrów — Heniek odpęda myśl, że gotowi go stamtąd z miejsca gnać z powrotem, skoro chleb już pobrany. Tylko przez ten chleb dali mu jednokonkę...

— Czy też ona będzie w magazynie? Jakaś dzika jest. Jakby opryskliwa a właściwie nieśmiała... — wtula głowę w kołnierzą i przyknuwszy oczu przypomina sobie zuchwały profil Kryśki.

— Właściwie ona jest stara... myśli w pewnej chwili z nieuzasadnioną złością, wiedząc zresztą, że te dwadzieścia sześć czy osiem lat dziewczęciną stawaoną o dodatkowej jej przewadze nad dziewiętnasto — i dwudziestolatkami z zaciągą.

rozchichotanego koleżkę aż ten stuknął czołem o framugę drzwi. Dziewczyna nie drgnęła, nie usunęła nawet wyciągniętych ręki, którą trzymała klamkę. Zieliński na sekundę zbaraniał. Oprzytomniawszy zwrócił się ku Lachnie. Zrobili krok ku sobie i stali tak zetknięwszy się piersiami, z rękami sztywno wyciągniętymi po bokach, jakby chcieli zmierzyć siłę ozebrowania własnych klatek piersiowych.

— Nie dziś... Dziś bez bitki! — no! zachrypiało od drzwi.

Lachno, wykreślił głowę — kto mlesza w sprawę głowę z Zielińskim? Na progu stała tylko ona. Głos miała niski, prawie męski, z nieprzyjemną chrypką.

— No — poprosiła uśmiechem. Niechętnie odwrócił się bokiem do Zielińskiego. Znow wpatrzył się w nią uważnie. Mała twarz obrysowana twardym konturem dużych prostych włosów przerzuconych po prostu na jedną stronę głowy, oczy jakiegoś dziwne, czarne — bez źrenicy. Po rtyjaku zbliżył twarz do jej twarzy. Zapadł spojrzeniem w te oczy bez światła. Spostregł, że ona się śmieje. Duże usta grymasnie dzwaczyły wywołując kilka „gwizdek“ — tak pomyślał — nie: „dółków“ — na policzkach.

Zatęczał? — zapytał szepem, nie słysząc jak za nim triumfalnie klinie Zieliński, pewien, że przeciwnik po prostu umyka.

Odwróciła się i cofnęła do Izby. Sala świetlicy w Turli była przestrojona uroczysto. Nawet nowe przewody podłączyli do żarówek, do dziś świeciło ich chyba z dziesięć, wszystkie postrojone w kolorowe paski i bibułki. Niby nie ta sama sala, w której dwa tygodnie temu po przybyciu do zespołu nocowali na słomie. Na drugi dzień Lachno z grupą 10 kolegów wysłany został do gospodarstwa w Grajkach.

Przybył tu znowu jako delegat na pierwsze w zespole pionierskie zaślubiny. Nie znał dobrze tych „państwa młodych“. Jeszcze jego pamiętał z podróży, ale jej chyba nie widział na oczy. Także tę dzisiejszą w czerwonym swetrze spotkał chyba po raz pierwszy. Zapytał kiedy przybyła. Coś mu tam odpowiedziała. Potrząsani byli co chwila w toku tańczących, ale chłopak napotkał jej wzrok z wrażenia aż przystanął. Znow ich potrącił, aż Lachno gubiąc do reszty rytm zrobił krok ku pustemu miejscu. Podłoga w świetlicy była nierówna. Część dębowej posadzki zerwana kiedyś przed laty — zapewne na opał — i nie zalatano dotychczas. Z okazji uroczystości sprytni organizatorzy zastawili ową przepaść stolikami, ale gdy rozochoceni goście odsunęli meble pod ścianę, wyrwa wyłaziła na kolorowe światło. Pary unikając nierównej chropawej powierzchni stłoczyły się na porządnej części sali.

Lachno i dziewczyna w czerwonym swetrze zostali raptem jak sami, wydzieleni na tym kawałku zerwanego podłogi, na marginesie zabawy.

Pierwsze pionierskie wesele zaślubiło sobie na uwagę kraju. W Turli znalazła się nawet ekipa Kroniki Filmowej. Uroczysti nowożeńcy musieli spełnić polecenie w blaskach ich reflektorów. Nawet słubny upominek władz zespołu — mały proszaczek — wyrwał się fotogenicznie z rąk obdarzonej panny młodej. Pamiętamy zresztą ten numer kroniki filmowej.

Teraz obok stołu, przy którym nowożeńcy porcelanowymi kubkami spełnili wielki toast, przystanęła para.

— Nie idzie tańczyć na tym — Lachno szurnął podeszwą po chropawatej powierzchni. Teraz Heniek do pierwszego z brzegu kubka — nalewa wino.

— Proszę.

Ale spojrzenie jej umyka w bok i oczy z tym charakterystycznym niemym pytaniem patrzą gdzie — tam. Kiwa przecząco głową, tuląc ją zarazem lekko w ramiona. Lachno ogląda się i widzi Zielińskiego i drugiego chłopaka, jak równocześnie zapraszają ją do tańca.

Heniek nagle blednie, idzie krok naprzód, latającymi rękami bierze Zielińskiego za kłapy i mruczy mu w twarz proszaczek: odejdź, bracie, no odejdź. — Chłopaki znają Henka. Gorący. Rękę ma ciężką. Strachu nie zna. A teraz prosi, Zieliński nie z tych, żeby się bał, a tej próśby się jakos przestraszył. Odwrócił się. Jeszcze tego drugiego wziął pod ramię.

Ona nagle uśmiecha się trochę smutno, odsłaniając nierówne drobne zęby i dopiero teraz wypija podany kubek. Odstawiła. Sama składa ramiona do tańca. Lachno czuje wielkie wzruszenie, jak człowiek obdarzony przytłaczającym zaufaniem — ale sobie podpiłem — rozmyśla unosząc z gracją stopy by cienką ażurową podeszwą kamaszka nie szarpała się w tańcu z chropawą nawierzchnią tego miejsca ich parkietu.

Naraz wielki blask ogarnia twarz dziewczyny ale, nim Heniek ma czas na głęboki zachwycony oddech, złość i jakaś niechęć postarza ją paskudnie. Taką właśnie — złą, postarzałą w sekundzie twarz chowa mu dziewczyna na piersi. Nie chce by ogarnęła ją specjalnie chyba na ich częstę poruszoną w ruch kamera filmowa.

— Czego się koleżanka wstydzi! — wola gruby operator — ładnej buzi? Lachno jest zły. Taka okazja. On wie, że aparat powie to samo: jest piękna. — Zobaczyćliby się w kinie. Rozgniewany usiłuje dłońią podnieść jej brodę do góry. Zmaga się przez chwilę i naraz czuje przejmujący ból.

— Ugryzła — wściekły porzuca ją na środku parkietu i teraz on, jak

zawstydzony sztubak ucieka z oświetlonego miejsca. Widzi jeszcze jak dziewczyna stojąc na środku zasłania twarz obu rękami jak przed balem (widzi teraz, że przegub ręki ma obandażowany) i słyszy głos operatora:

— I nie chce koleżanka dać na chwilę buzi Warszawie?

Nie miał gdzie pójść. Nie będzie przecież przez głupia siedział w deszcz na przyczepie. Nie będzie stał w korytarzu, z którego zniknęły nawet puste butelki — ach, pothucone! — dojrzał zmiecioną w kącie kupkę szkła z mieniącymi się etykietami. Wrócił. Od drzwi spostregł czerwony sweter. Zartowała z operatorem. Odkąd odłożył kamerę stał się dla niej pewno „miłym grubaskiem“ — ten byk.

Heniek Lachno poczuł, że nienawidzi kroniki. Przyjechali sobie z wizytą tu, gdzie tacy jak on zostają na kawalek życia. Przyjechali „operatorką“, wygodnym krytym wozem z wyscieranymi ławkami... — Dławił się złością stojąc na progu. Adapter dudnił fokstrota. Żeby było tango to już by z nią posuwał, kaleka — domniemywał mściwie o operatorze, nie patrząc w tamtą stronę. Znow ten czerwony sweter. U biera się to tak, że przeszkadza obserwowac zabawę, tylko pcha się na oczy... Heniek opuścił wzrok i dostrzegł swój palec z fioletową wkładką obrączką jej zębów — uśmiechnął się i nagle poglaskał to miejsce wskazującym palcem lewej ręki. Podniósł wzrok i napotkał jej oczy tak blisko, że spostregł niteczkę skośnej zmarszczki biegnącej ku skroni przy uśmiechu.

Pary, patefonowy jazgot jazzu — wszystko znikło, były tylko te szerokie usta, nierówne zęby.

— No — chrząknęła wyzwalając głos z chrypy. — Nie złość się — zabrzmiąło czysto i cicho — chodź — pociągnęła go za sobą cofając się o krok, potrąciła go jakaś roztańczona para; byli już razem w środku weselnego ruchu.

— Siłą nigdy z mną... — rozumiesz — pouczała go łaskawie, jakby odtąd mieli być zawsze razem.

— Skąd jesteś? — zapytał idiotycznie, z prostacka, jakby go nie stać było na nic więcej.

— Ze świata — zmrúżyła oczy aż cienie rzęs zeszyły na policzki i przepłynęły w lewo, gdy w obrocie walca minęli wiszącą nisko żarówkę.

Trudno powiedzieć, że Kryśka li czy na pewno, że Heniek tu zajdzie, ale woli być tutaj niż iść do „siebie“, i poznawać cztery nowe współmieszkanek. Patrzy życiowie na motek kabla porządnie (o dziwo!) nawinięty na walek. Myśli właśnie, że wtedy ją przy mierzeniu kabla zaskoczył, gdy naraz jakaś kartka unosi się z podłogi jakby podniesiona niewidzialną ręką — przeciąg, ktoś otworzył drzwi. Serce jej bije. — Jaka jestem głupia — myśli o sobie z politowaniem i odwraca się bardzo powoli. Jej zaskoczenie jest tak duże, że uśmiech zostaje jakby przyklejony do twarzy obojętnej na widok nieznajomego.

— Dobry wieczór — mówi Grabowski — chciałem prosić o dwa łożyska kulkowe, potrzebne do remontu...

Kryśka odwraca się szybko, jakby chciała ukryć zawód. Automatycznie nie patrząc sięga ręką na drugą półkę.

— Proszę... — kładzie na stole. Nie patrząc na przybylsza otwiera jakiś zeszyt... Wpisuje.

— Jak wasze nazwisko?

— Moje? — przeciąga ze zdziwieniem Grabowski. — Nie wiesz? Przecież się znamy. A jak zapomniałaś to tutaj się łatwo dowiesz. Najważniejsze, że ja pamiętam twoje. A w Turli tak dokładnie się nie kwituję. — Dobranoc, Kryśka „Brzytew“.

Zostały otwarte drzwi. Jaka ciemność.

—

Znowu noc. Kryśka zawiąja się szczególnie w świeżo powleczonej koc, jakby chciała się nim oddzielić od całego olbrzymiego brudnego świata. Odnalazła ją to imię, jak przekleństwo. Zaciska oczy chcąc w pamięci wywołać twarz człowieka, którym tym imieniem żeliży ją, ogłuszył i okradł. Nie. Jakby ten ktoś nie miał twarzy. Ale ilu było w jej życiu takich... bez twarzy? Zna ją. Wie.

Nagle nadpływa na pomoc zadziorny profil Henika i Kryśka szybko otwiera oczy, żeby spłoszyć zjawę. Nie chce tak myśleć o nikim. Z tego tylko jeszcze jest gorzej, trudniej żyć... „Brzytew“. Najpierw uartało się wśród koleżanek. Helka Aniołek wiedziała dokładnie. Od kiedy zamieszkały razem z dziesięć razy prosiła żeby wyrzucić, aż uprosiła, że wolno jej było schować w nieznane Kryscie miejsce.

— Widzisz — tłumaczyła koleżance, którą traktowała jak dziecko — nasz fach nie daje mić ostrych rzeczy pod ręką. Ani wiesz kiedy najdziej cię taka chwila, że tylko żyły ciąg...

Piętnastoletnia Kryśka uśmiechnęła się do siebie. O nie, ona własnych żył pamiętka po ojcu nie uderzy, ale mieć ją zawsze ze sobą byłoby niebezpiecznie. Ile razy ubierając się u pana Ludwika, jej pierwszego „znajomego“ spod getta, którego odwiedzała co tydzień, wstrząsana dreszczem odrazy wyobrażała sobie, że ma ją ze sobą... Ale kiedy na wiosnę 43 roku rozeszły się w kłótni z Helką, nosiła już brzytwę zawsze w torebce. W specjalnie uszytym pokrowcu. I wtedy... Był taki lokal „Bohema“... Kryśka przymyka oczy i już pamięć podaje oświetlone wejście skryte pod szklanym z góry zamk-

niętym daszkiem jaskrawo oddzielające się od gluchego okupacyjnego wieczoru. Grał Murzyn, to znaczy dyrygował... jak to on się nazywał? Wejść tam trochę później kiedy już wolnych nie ma... Ciasno ustawione stoliki. Zaraz ktoś zapropnuje miejsce przy swoim.

Wielkie czarne naiwne oczy tej znieprawionej gaski widzą ludzi na wyłot. Cieszy ją światło, szum, spojrzenia, luksusowy syk lokalu, ale też wie ona czym pachnie ten wykładany fałszywą biżuterią okupacyjny ściek. Waluciarze, tryumfujący spekulanci opijający sukcesy ostatnich transakcji, dziwna „ziota młodzież“, której „poszło“ wczoraj w kasynie gry... Klientela „Bohemy“ i Kryśki... Tego dnia, wbrew przyjętym obyczajom, w myśl których wzajemnie się tu nie znają, ledwo Kryśka przestąpiła próg sali podeszła do niej piękna ruda Jaga



Rys. A. Wahl

i zdenerwowana zapropnowała, że by raczej poszły na ulicę. „Tutaj przed chwilą było gestapo... Cldwaj cywilni, stolik przy orkiestrze, to gestapowcy, kogoś brali“... Kryśka spojrziała w tamtą stronę. Przystojny blondyn uśmiechnął się zachęcająco. Znała go z widzenia, musiała tu być nie po raz pierwszy. Wzruszyła ostantacyjnie ramionami i skłerowała się ku wyjściu. Ale ledwo stanęła na szczyście wysokich schodów tamten był przy niej... Coś zagadywał, uprzejmy, uśmiechnięty. Odmówiła ruchem głowy, tak dum-

ny, że aż w jej sytuacji śmiesz-nym. Nie ustępował. Stanowczo ujął ją pod rękę. Coś tam plół o lampce wina, żeby uprzyjemnić mu koleżeńską uwieczystość. I nagle pomyślała o uwieczionym tu człowieku, o człowieku, którego trzymali mocniej niż ją ten mężczyzna, jeden z nich, z oprawców, o bólu i rozpacz kogoś kogo wzięli... Ruda Jaga była już za drzwiami... Kryśka szarpnęła się niegrzecznie, ale tamten tylko wzmochnił uchwyt. — Przepraszam — ustąpiła nagle — muszę się przypudrować — uśmiechnęła się kątem ust grzebiąc w torebce. Wyszarpnęła brzytwę. — Do widzenia! — skoczyła ku szklanym drzwiom. Widziała za szy-bą szeroko otwarte oczy Jagi, usłyszła jakieś przekleństwo z jakim tamten odsoczył i wypadła na ulicę. Biegła jak szalona wydłunionym mrocznym chodnikiem... Obejrzała

ra“ w tym dwudziestym drugim roku życia) zakochała się, po prostu jak dziewczynka. Kiedyś, gdy on się zapylał c jej życie i już mu wszystko nakłamała, nagle zechciał wiedzieć, ilu miała mężczyzn. — Wówczas odjęłam zero i podzieliłam na pół — przypomina sobie rozpaczliwie — a i to zmartwił się, że jestem „zepsuta“... Skąd mogłabym poznać tego, który rzucił tak to moje imię, jakby związywał przy bandyckim napadzie.

— Jak najdalej stąd — powiedziała w końcu tamtemu prokuratorowi na pytanie czy ma jakąś upatrzoną okolicę. Myślała, że to dziennikarz. Radził jej jechać — żyć „na nowe miejsce“.

— Jak najdalej — powtórzyła potem w Lidze Kobiet — i jeszcze za blisko — myśli teraz drząc pod ko-cem, jak wówczas na posterunku kiedy po opatrunku zaprowadzili ją z powrotem do celi zatrzymań z wybitym przez nią oknem.

I co poradził, co poradził? — roz-ząlla się teraz na niego i na to swoje wówczas poczucie wdzięczności, prawie uwielbienia — raz ktoś jak człowieku... pytał kiedy ostatni raz jadłam...

I po co mu wierzyłam... „Jechać żyć na nowe miejsce“... I po co broniliam się temu Henikowi... POCO te śmieszne bzuurme śluby dawane sobie zamiast owych świec dla św. Antoniego, że odkąd wyjedzie — z tym już koniec.

Rano chora na pęcherz Zośka Mrozówna, która wstając co noc dwa, trzy razy, dokuczała potem chrapającym koleżankom wypomina-jąc im, że „spać nie dają“, orzekła żartem, że „mowa“ już mieć musi nieczyste sumienie, bo strasznie przez sen jęczała.

—

Heniek umyślnie długo grzebał się wyciągając swego „Sporta“ z paczki by — gdy już plomyk zapalonej zapalniczki zdawał się rosnąć wprost z jej palców, zgasić ją zapobiegliwie i mruknąć — daj przypalić.

Nie wyjęła papierosa z ust. Skłoniła ku niemu głowę. Przypałał trzymając ją za ramiona — usta w usta.

A ty właściwie po co paliś? — po ojcowsku zatroszczył się nagle Heniek.

— Ja jestem dorosła. Gorzej, że dzieci palą — dmuchnęła mu dy-mem w nos.

— W domu paliłem fajkę — po-chwalił się naawnie, że aż się na siebie pogniwał.

— Fajkę — parsknęła. — No to zapal. Chcę zobaczyć jak wyglądasz z fajką.

Tu nie mam — nie zabrałem... Szli ku budynkowi mieszkalnemu. Gdy potknęła się o jakieś porzuczone na zagnojonym podwórzu części maszyny, złapał ją za rękę. Nie rozłączając dłoni, szli przez ciemność coraz wolniej. Byli już o parę metrów od kręgu światła rzucanego przed umieszczoną nad drzwiami żarówką, gdy ktoś wyszedł na próg, by wylać wodę z miednicy. Instynktownie puścili się i w tym samym momencie ona schwyciła go za łotcie, jakby czymś bardzo przestraszona...

— Czego się pani boi, nie obleję... — zaśmiał się Grabowski.

Heniek chcąc koniecznie zamarkować jakąś rozmowę, jakby milczenie najdobitniej świadczyło prze-ciw nim, rzucił tonem pouczającym...

— ...Więc jakżeśmy się umówili, powiecie o magazynie, coście tam

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

zastali, tylko śmiało... — urwał przekonany, że fałsz krzyczy z każdego słowa, ale wybawił go z kłopotu Grabowski.

Wysoki, pleczysty, stał na progu, trzymając w jednej ręce opuszczoną miskę...

— Powie śmiało, nie bój się Heniek, panna „Brzytew“ inaczej nie umie.

Lachno obejrzał się na Kryskę zaskoczony. Stała już na pierwszym stopniu, maleńka wobec górującego na progu Grabowskiego, trzymała do góry twarz wykrzywioną jakimś dziwnym uśmiechem.

— My się z tym kolegą znamy... — ze szkoły jeszcze... — głos jej z początku głośny, nagle zgasił do szeptu...

Grabowski uśmiechnął się życząc i przełożywszy miednicę do lewej ręki wyciągnął do niej prawą. Ucisnął ją mocno.

— Pamiętał, trzecie okno... tylko bez komedii, no — szepnął, słysząc że Heniek wstępuje już na schodki.

I znowu noc. W izbie cisza. Gdy szła tutaj obchodząc szerokie „wezioro“ zdawało jej się, że nog już nie wyciągnie z łakomie miaskając tego blocka. Odbijające się w baw-jorze jedyne światełko w budynku wabiło miękkie i dobre jak poduszka. Nie słuchała żartów kładących się do snu dziewcząt na temat decyzji Zośki Mrozówny, która ogłaszała, że noc spędzi w oborze, gdzie spodziewano się cieleńia krowy. Jej znane zapędy, że wyksztali się na zootechnika kwitowano tym razem słowami, że „musi“ — i tak pęcherz nie dałby jej spocząć ani na chwilę... Zośka wstąpiła. Jak szybko pozasypiali. Wśród tych różnych oddechów Kryśka leży jak wśród powracających uparcie fał jakiejś przepływającej rzeki. Leży na kra-wędzi snu zbyt zmęczona by myśleć, zbyt niespokojna by zasnąć.

— Po co mu wierzyłam? — wraca do prokuratora.

— Kto obroni?... Heniek Lachno?

— Kryśka kiwa przecząco leżąc na poduszce głową aż słyszy w ciemnościach szelest siana, którym jest wypchany zagłówek.

Niby to przeczy, ale czuje jak niespodziewanie dla samej siebie uśmiecha się w ciemności i wyciąga rękę, jakby chciała pogłaskać tę niematerialną twarz... — Palił fajkę... jakiś nerwowy śmieszek chce się z niej wyzwolić i nagle ścina ją okrutne przypomnienie...

— Trzecie okno...

— Ale nie, nie pójdzie. To po to tak odsuwała od siebie tego Henka, tam w magazynie w Turli, żeby teraz... Nie pójść a Grabowski powie... i już będzie po wszystkim.

Heniu... — szepece na głos Kryśka i przeraża się swego głosu. Ostrożnie, żeby nie zbudzić żadnej z nich maca ręką po posadzce w poszukiwaniu swoich gumiaków.

Podwórze pokłusuje stojącym w bajorze księżycem. Kryśka przechodząc koło ekien sypaniści chłopców pochyla się nisko by głową jej znalazła się poniżej poziomu parapetu. Minąwszy schodki liczy okna: raz, dwa... Przystaje przy trzecim...

Kiedy po dwóch godzinach wsuwa się z powrotem do sypani na tylko tyle przytomności by sięgnąć buty; w ubranu pada na łóżko...

Całą noc męczy ją dziwny sen, „szyje siebie“ — przerabia się na maleńki kapciuch — torebkę na tytoń do fajki Henka.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

# NIEKRASOW

(Dokończenie ze str. 5)

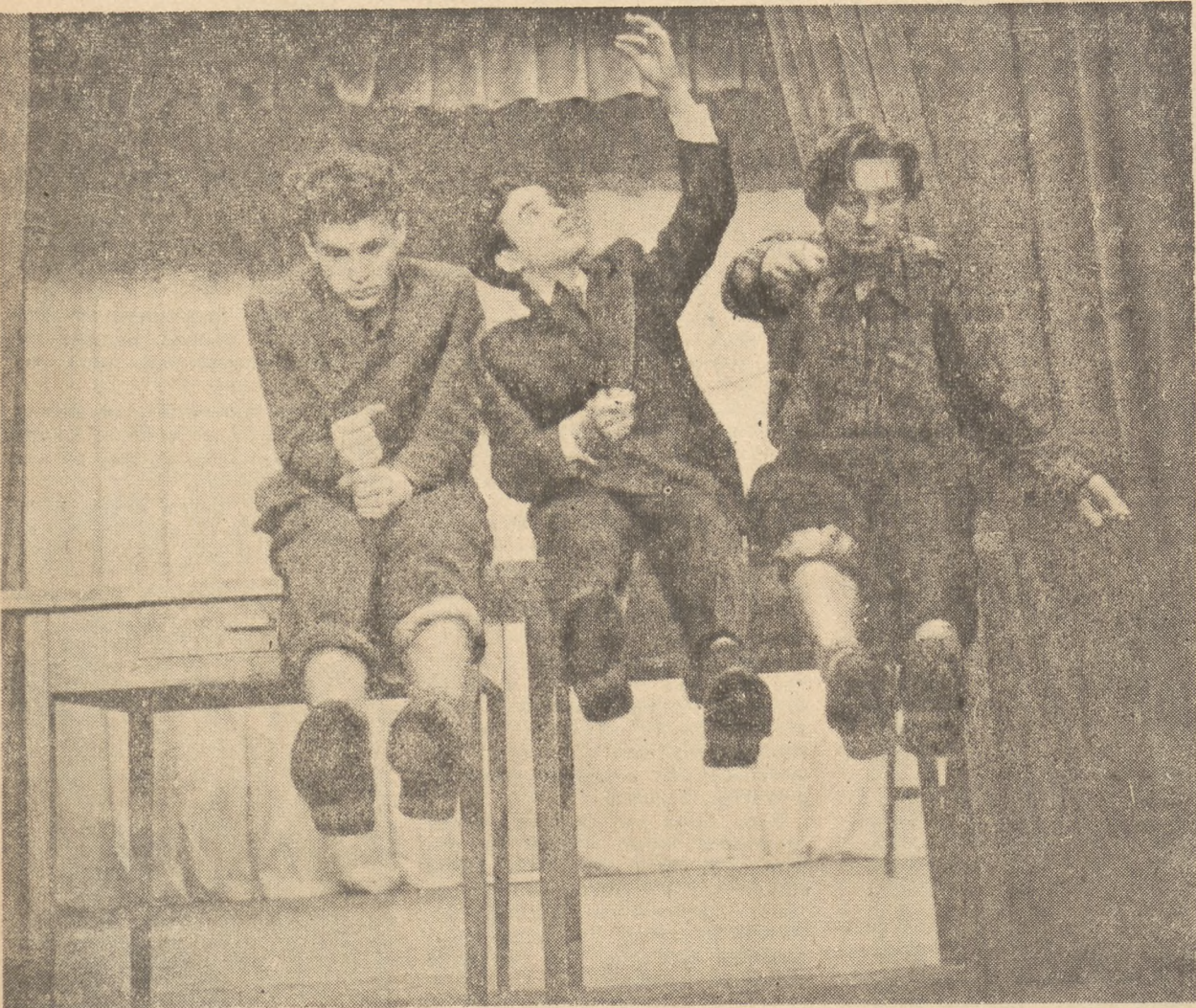
MOUTON: Nieświadomy neutralista, haniebny pacyfista, handlarz złudzeń — oto kim pan jest!

JULES: (krzyżąc) Dajcie mi pan pokój! Pokój! Pokój! Pokój!

MOUTON: Pokój! No, sam pan widzi, czego pan chce. Niechże pan siada i pomówmy spokojnie. (Jules siada). Nikt nie neguje pańskich wybitnych zdolności. Sam wczoraj oświadczyłem na Radzie Nadzorczej: „To Napoleon obiektywnej informacji“. Ale czy okazał się pan Napoleonem ofensywy?

JULES: Będę nim również!

MOUTON: Niech pan da tego dowody.



Scena z „Wędkarzy” w warszawskim STS-ie

MARIAN KUSA

# Myślenie daje wyniki

Przyjął się w krytyce teatralnej swoisty styl pisania o zespołach amatorskich. Styl nacechowany pewną pobłażliwością, poklepywaniem po ramieniu, traktowaniem przedstawień amatorskich „z góry”, bo „co wy tam w końcu potraficie, bawcie się dalej”. Być może ten ten jest słuszny w stosunku do niektórych, mało ambitnych zespołów. Ale w jaki sposób pisać o przedstawieniu, które nieoczekiwanie burzy aprioryczną teorię recenzentów, przekracza pod wieloma względami amatorski poziom, bal—nawet bije teatry zawodowe? Następuje wtedy dość kłopotliwa sytuacja, której rezultatem jest milczenie. Taką właśnie reakcję wywołało w prasie stołecznej ostatnie przedstawienie Studenckiego Teatru Satyryków w Warszawie — „Myślenie ma kolosalną przyszłość”.

Wiedziałem programy prawie wszystkich ważniejszych scen satyrycznych w Polsce. Ani jeden z tych teatrów nie odważył się, czy też nie potrafił zaatakować najistotniejszych, najważniejszych konfliktów naszego życia. Przedmiotem satyry są tam co najwyżej stosunki biurokratyczne w pomniejszych urzędach, nie nęszczające autorem zbyt wielu kłopotów, bo od lat jednakowo aktualne. Bardzo często uzupełnia je uprzedmiotowa i równie bezskuteczna satyra na polski film oraz wystawki antyimperalistyczne, które z niezupełnie zrozumiałych względów — zostały ostatnio zarzucone. Wszystko razem podawane jest w obojętnym ideowo sosie, zaprawionym abstrakcyjnym i nie zawsze (w zależności od teatru) smacznym dowiecipem. O co walczą nasze dorosłe teatry satyryków, jakie jest ich oblicze? Trudno znaleźć odpowiedź. Marginesy, marginesy...

A publiczność? Zapelnia sale z różnych powodów. W Stalinogrodzie przyciąga talent Pawłowskiego. W Łodzi do niedawna ekscytowała widownię roznegliżowana do maksimum Zofia Janury. W Warszawie — również tylko wielkie indywidualności aktorskie, bo treść pierwszego programu objętej przez nowe i wielce obiecujące kierownictwo „Syreny” — przyniosła powszechne rozczarowanie.

W studenckim teatrze nie ma wielkich talentów aktorskich a dziewczęta pokazują zaledwie gołe nogi. Jest za to kilka tęgich piór zapłodnionych żarliwością, pasją i odwagą młodego zespołu. Nie zadowala on się ośmieszaniem marginesów naszego życia. Uderza w sprawy pierwszorzędnej wagi, często bolesne, ale też najbardziej skomplikowane i aktualne.

„Myślenie ma kolosalną przyszłość” — jest czwartym z kolei programem Studenckiego Teatru Satyryków. Jak i poprzednie zaskakuje on widza ostrością ukazanej problematyki i agitacyjnością w dobrym znaczeniu tego słowa. Bez tych dwóch elementów nie wyobrażam sobie dobrego, politycznego teatru satyry. I pod tym względem studenci wyprzedzają zdecydowanie reprezentacyjną „Syrenę” i inne tego typu teatry.

Ostatni program STS-u atakuje celnie drobnomieszczaństwo, dwulicowość, brak trwałej postawy światopoglądowej, chwiejność przekonań, a więc objawy, które w ostat-

nim roku dały się szczególnie wyraźnie zauważyć zwłaszcza w środowisku intelektualnym. Główny nurt tego ataku wypełniają takie utwory, jak (kolejność według programu): monolog Magdaleny Leji — „Kandelabr”, „Wędkarze” i przede wszystkim „Kwiat czerwieni” Jarosława Abramowa. Najbardziej jednoznaczny w wymowie jest „Kwiat czerwieni” — piekielnie ostra i pomysłowo zrobiona satyra na tych przedstawicieli różnych grup, którzy prymitywnie i fałszywie rozumieją sens tzw. „odwilży” wykorzystując ten moment, aby powrócić do jawnego wyznawania starych, zacofanych i ukrywanych przez lata drobnomieszczańskich zasad i moralności. W „Wędkarzach” poddano krytyce typ słabego człowieka, korzystającego z nadarzającej się koniunktury, utrzymującego się „na fali” tylko dzięki różnym zbiegom okoliczności. W „Kandelabrze” odzywa się inny przejaw „odwilży” a mianowicie sprawa powszechnej krytyki w różnych dziedzinach naszego życia. W podtekście nie trudno tu wyczuć echa dyskusji o „Poemacie dla dorosłych”. Wymowa „Kandelabry” nie jest jednak zupełnie jasna. Można ten monolog różnie interpretować. Nie wiadomo, czy autorka wypowiada się przeciwko żywiołowej i ogarniającej w ostatnich miesiącach wszystkie środowiska krytyce, czy też chce, aby odróżniano właśnie rzeczową krytykę od bezmyślnego „plucia” na wszystko, co do tego czasu zrobiliśmy. Równie wieloznaczny jest inny punkt programu pt. „Pierrot”.

Kierunek natarcia uzupełniają dalsze utwory, a zwłaszcza krótkie i błyskotliwe obrazki nazwane „Paciorkami”. Akcentuje go zaś mocny, uderzający epilog — zbiorowa recytacja „Sonu” Witolda Dąbrowskiego (zinteressowanych odsyłam do 40 numeru PO PROSTU, w którym został w całości wydrukowany).

Epilog spełnia w przedstawieniu szczególną rolę. Dzięki swej sugestywności podsuwa on widowni sposób interpretacji głównej myśli spektaklu, reprezentuje stanowisko zespołu w stosunku do spraw ukazanych na scenie i narzuca to stanowisko widzowi. Tkwi w tym jego agitacyjna siła.

Nie jestem zdania, że „Song” jest wołaniem grupy ludzi „przerazonych o los rewolucji” (patrz obok — artykuł Jerzego Urbana). Zbyt wielkie to uogólnienie. Nie znajduje ono uzasadnienia w zestawieniu z treścią najważniejszych punktów programu, o których już szczegółowiej wspominałem. Nie jestem również zdania, że całość programu przynosi generalną krytykę obecnej sytuacji w ogóle. że krytykę tę przeprowadza z niewłaściwych, przestarzałych pozycji, że wreszcie ideolodzy STS-u nie dostrzegają pozytywnego sensu przemian w Polsce roku 1955.

Ostatni okres wniósł do naszego życia wiele nowych treści. Przełamał schematyzm myślenia, rozwinął się szeroko, po raz pierwszy szczerą dyskusją na najbardziej drażliwe tematy. rozprawiono się z wieloma błędami poprzedniego okresu. Obok tego zdrowego nurtu powstało wiele zamieszania, dezorientacji. W natłoku drobnych spraw i problemów znika czasami szersza perspektywa, cele, do których nadal dążymy i które nie zmieniły się. Na tym ubocznym, niezdrowym nurcie rzeczywistości żeruje jednak wielu ludzi obłudnych, karierowiczów i dwulicow-

ców, którzy traktują obecną sytuację wyłącznie jako sprzyjającą koniunkturę do jawnego wyznawania starych, ukrywanych przez lata drobnomieszczańskich zasad i poglądów albo do robienia dobrych interesów. W rich to właśnie uderza ostatni program STS-u. Epilogowy „Song” jest zaś mocnym apelem do widza, aby wzmógł swą czujność w stosunku do takich właśnie złych przejawów, aby nie pozwalał na zanieczyszczanie zdrowego i twórczego procesu, który obecnie zachodzi w społeczeństwie. W ten sposób rozumieć końcowe słowa: „Towarzysze, czy w naszej krwi nie za mało czerwonych ciałek”. Wolę tę silną pointę od najbardziej zabawniejszych, ale formalnych tylko epilogów innych programów satyrycznych.

Ostatnie stwierdzenie Jerzego Urbana, że „czeka i nudno” zawiera poważny zarzut, zwłaszcza dla teatru satyrycznego. Nie wiem, które z kolei przedstawienie autor ma na myśli (poziom wykonania premiery był znacznie niższy od późniejszych przedstawień). Nie znam również stopnia wrażliwości i typu humoru najbardziej odpowiadającego autorowi artykułu, Tak już bywa, że jednych łatwiej, innych trudniej rozbawić, jednemu podobna się to, innemu tamto. Stwierdzenie, że ja na przykład bawiłem się świetnie nie jest żadnym argumentem. Dlatego też chcę wspomnieć tutaj o t. zw. zachowaniu proporcji, które jest warunkiem sine qua non dobrego programu satyrycznego.

Wydaje mi się, że Jerzy Markuszewski, reżyser przedstawienia posiada tę cenną cechę, jaką jest umiejętność zgrabnego łączenia i przeplatania t. zw. cięższych punktów programu z lżejszymi, o charakterze wyłącznie rozrywkowym. Ostatni program obok utworów wymagających dużego skupienia i wysiłku umysłowego przynosi utwory lekkie, skrzzące się dowcipem obrazki (np. „Paciorki” czy też skecz Jareckiego „Emigracja”). Dużo pogody wnoszą także do spektaklu wykonane z wdziękiem piosenki brazylijskie, pomysłowo inscenizowane piosenki radzieckie czy chociażby nie mająca większych ambicji pogodna operetka „Wesele na wsi”. Chętnie widzielibyśmy więcej tego typu utworów w następnych programach. Nie znaczy to, by rezygnować z ostrych, politycznych utworów czy satyr typu refleksyjnego, która zdążyła się już na dobre zrosnąć z STS-em i jest jego cechą charakterystyczną. Odróżnia go ona m. inn. od gdańskiego „BIM-BOMU”, który posługuje się zupełnie innymi środkami wyrazu a mianowicie buduje swój program wyłącznie na sytuacjach przy minimalnym użyciu słowa.

Wprowadzenie monologów z „podtekstem” do ostatnich programów świadczy o dużych ambicjach zespołu warszawskiego. Wymagają one nie tylko dobrego pióra ale również świetnego wykonawcy, na którego barkach spoczywa cały ciężar interpretacji, wydobycia wszystkich odcieni tej czystej, oscylującej pomiędzy komizmem i tragedią — groteski. Nie zawsze się to udaje, o czym świadczą niektóre pozycje ostatniego przedstawienia. Potknięcia — nieuniknione dla amatorów — nie upoważniają do przesądzania sprawy.

Tak się składa, że podczas pisania tych uwag raz po raz wracam

do naszych zawodowych teatrów satyrycznych. Refleksje i porównania tego typu są nieuniknione dla każdego, któremu leży na sercu pomysłowy rozwój tych placówek artystycznych. Jakże daleko im do świeżości, bezkompromisowości, ideowego zdeklarowania i agitacyjności warszawskiego STS-u. Czupurne, bojowe teksty studentów, błyszczą w porównaniu z wygładzonymi, poprawnymi i często obojętnymi utworami, które składają się chociażby na spektakl „Syreny” — „Diabli nadali”. Znam pewnego dyrektora jednego z centralnych zarządów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Rok temu będąc kierownikiem placówki podległej temuż centralnemu zarządowi psioczył ile włożyło na politykę i posunięcia Ministerstwa. Teraz — po przeniesieniu go na wyższe stanowisko — jest czołowym reprezentantem tej polityki. Czyżby z odwagą naszych dorosłych satyryków było podobnie?

„Myślenie ma kolosalną przyszłość” — napawa optymizmem również w zakresie wykonania programu. Swobodę poruszania się na scenie, wdzięku a nawet umuzykalnienia aktorów STS-u może pozazdrościć młoda kadra „Syreny”, która przyczyniła się do „położenia” jednego z numerów ostatniego programu — „Młodości wylatują”, przejętego z trzeciego programu studenckiego.

Ostatnio wiele się mówi o wzmożeniu wymiany kulturalnej wśród studentów różnych krajów. Wydaje mi się, że warszawski STS dojrzał już artystycznie do tego, aby można było nim pochwalić za granicą. Zgłaszam to jako postulat — bez wiedzy zespołu.

nia satyry — trafia tylko w powie-trze.

—

„Myślenie ma kolosalną przyszłość” ma jedną wielką zaletę. Nareszcie uderza już nie w mankamenty charakterystyczne przede wszystkim dla okresu minionego: nudę w ZMP, arcygłupich aktywistów, „sprawy personalne” o pocałowanie dziewczyny, ale wciąga na tapetę zjawiska, które szczególnie bujnie niesie ze sobą rok 1955: drobnomieszczaństwo i dwulicowość. Owa zaleta programu stanowi jednocześnie największą jego wadę. Paradoxs jest tu tylko pozorny. Bowiernie istotne punkty uderzono z niewłaściwej pozycji.

Z całej plejady numerów celujących w istotę schorzenia studenckiego świata: modę na opłukiwanie wszystkiego, dwulicowość, drobnomieszczańską postawę — wybijają się trzy punkty programu, które starają się głębiej zanalizować współczesność. Jest to „Pierrot”, „Kwiat czerwieni” i końcowy song do widowni.

„Pierrota” trudno odczytywać jednoznacznie. Usilnie starali się o to autorzy i reżyserzy, uduwniając ile sił, już niemal maskując wprost treść formalnymi chwytami, operując trudnymi do zidentyfikowania symbolami.

A jednak gdyby przełożyć wymowę obrazu na język polski, treść byłaby w dużym przybliżeniu następująca: młodego człowieka mamiono jednym, teraz mamy się czym innym, mówiło mu się i kazało wierzyć w jedno, teraz w drugie. Aż powstał dwudziestoletni stwór o rozdartej duszy — tragiczny Pierrot.

„Kwiat czerwieni” ma już sens wyraźny. Dźwigał ów kwiat „naczelniczy i redaktorzy” (doszukujcie się tu aluzji gdzie chcecie) aż nadeszła inna moda. Wówczas inne kwiaty zakwitły w butonierkach. Nad czerwonym kwiatem o spadających płatkach pozostały tylko maśy pogrążone w apatycznej zadumie.

I wreszcie resume całości. Bojowy song do widowni. Song przerażony o los rewolucji i wolających o „małym zapłutym codzień” o tym, że „spróbujmy was okłamać, że wzorajsz to jest jutrzejsze” i wzywających o więcej czerwonych ciałek w ideowej świadomości młodego pokolenia.

Cóż z tego wszystkiego wynika? Dla czytelnika niniejszych rozważań — przynajmniej — nic. Dla widza jednak wiele.

Niesposób w opisie, przy pomocy argumentów, przekonać, że taki a nie inny jest wydzidek przedstawienia. Ukryty jest on w podtekście, w domyśle. A jednak w gruncie rzeczy jest on jednoznaczny.

Ideolodzy ostatniego przedstawienia warszawskiego Studenckiego Teatru Satyryków podjęli krytykę generalniejszą niż tylko ujemnych złańsk towarzyszących współczesności. Podjęli krytykę tego wszystkiego co niesie ze sobą rok 1955.

Skąd ten jak niechybnie powiedzą — „krzywdzący” wniosek?

Z podtekstu spektaklu wynika, że autorzy uważają rok 1955 za regres rewolucji. Uważają, że jakieś podstawowe wartości ideowe zostały zagubione. Ze trzeba je odbudowywać.

Nie dostrzegają, iż całe owe panoszące się drobnomieszczaństwo nie jest bynajmniej produktem czasu „odwilży”. Ze w tej samej mierze istniało i dawniej, a teraz mierze istniało jedynie klimat, w którym, dotychczas utajone — mogło się wyjawiać. (Owo ujawnienie nie jest bynajmniej zła rzeczą. Ze zjawiskami widocznymi łatwiej jest walczyć niż z utajonymi. — To uważa na marginesie). Półpieniając ten zasadniczy błąd ukazują zjawisko fikcyjne — jakiś generalny regres ideowości. Sądzą, że ideową postawę młodych trzeba odbudowywać, podczas gdy ideowość uzyskała właśnie we współczesności jakiś wyższy, rozumniejszy szczebel. I rzecz polega na dalszym budowaniu, a nie wezwaniach o odbudowę w an n i u wielkich uczuć.

Nie dostrzegli oni w roku 1955 postępu rewolucji w stosunku do okresu minionego. Stąd owe tragiczno-patetyczne nawoływanie o tym, że coś u nas się zagubiło i że potrzeba więcej czerwonych ciałek.

A więc — upraszczając sprawę — spektakl sugeruje jakiś, w ostatecznej konsekwencji, kontrewolucyjny sens pewnych przemian roku 1955 takich jak wzrost krytycyzmu i dyskusyjności.

Oczywiście — jeszcze raz to podkreślam — sformułowania takie nie padają bezpośrednio ze sceny. Ukryte one są w podtekście przedstawienia. Mocniejszym akordem rozbrzmiewają tylko w wymienionych punktach programu.

—

Spektakl owiany jest jakąś przyciśniętą atmosferą. Nie chodzi tu o to, że na twarzach widzów rzadko wykrywa uśmiech, nawet przesadą — grymas zbliżony do uśmiechu. Gimnastyka mięśni twarzy nie jest tu najważniejsza. Gorsze, że zionie jakaś starczość w widzeniu zjawisk i atmosferze przedstawienia. Gorczy, żółć, rozczarowanie, tragiczne rozdarcie — to atrybuty co reprezentatywniejszych numerów. Jest to spektakl rozczarowanych w stosunku do współczesności, którzy za tracili uśmiech, pogodę, a na skądinąd mają już tylko sarkazm i bolesną zadumę.

Widz przytłoczony mnogością nie zawsze sensownych, ale niewątpliwie zaskakujących chwytów formalnych, prowadzony od symbolistycznej hochmologii („Pierrot”) do łopatologicznej opery Buffo z chórem i baletem („Wesele na wsi”) trawi po drodze niepotrzebne wrzaski zespołu na tyłach widowńi poprzedzające odpisywanie kilku bezpretensjonalnych radzieckich piosenek i wychodzi trochę przerażony, ogłuszony i zdezorientowany. Brak mu już nie pogody, uśmiechu, humoru, ale choćby młodzieńczości.

Napięta atmosfera spektaklu domaga się jakiegoś rozładowania wybuchem śmiechu, okrzykiem — król jest nagli! Niechaj pierzcha ten nastrój głębokich refleksji, do których widz jest zmuszony — to fakt — ale nie wielką prawdą lecz małą mistyfikacją.

W sumie na przedstawieniu smutno było, czczo i nudno. Co stwierdziwszy ośmielam się podpisać własnym imieniem i nazwiskiem.

Jerzy Urban

—

„Myślenie ma kolosalną przyszłość” — nowy program Studenckiego Teatru Satyryków w Warszawie.



Scena z „Paciorków”

## Kartki z jesieni 55

## Kartka pierwsza

Liście spadają. Zszarzała  
Ziemie, szeszczące, złocą.  
Zaciągnęło się niebo  
Białą, pachnącą wilgocią.

Powykręcane gałęzie  
W bezruchu bezlistnym trwają.  
Przechodzi rok przez kaluze.  
Liście spadają.

## Kartka druga

Moja jesień nie jest moją jesienią  
I nie dla mnie liście na drzewach się palą.  
We dnie, zanim w noc się przemieni  
Wisi księżyc na uwięzi, jak balon.

Pośród drzew się kołysze niezdarnie,  
Nad aleją parkową hula,  
Jeszcze chwila, a na ziemię upadnie  
Rozbijając się jak śniegowa kula.

Po ulicach kołuję, patrzę —  
Wisi w górze zimny, świetlisty...  
Moja jesień nie jest moją jesienią,  
Moja jesień zabrał księżyc zawistny,

\*

Bo to było po prostu tak:  
Najpierw było nieznane dziwo  
I wiedziałem, że trzeba iść spać  
Kiedy dziwo na niebo wchodziło.

Potem jabłkiem zwiślał z gałęzi.  
To — poezja. A potem fakt:  
„Księżyc wokoło słońca się kręcił”.  
No tak.

I to jeszcze nie tragicznego,  
Mimo to jeszcze serce wzruszał —  
Recytował nocą Heinego  
I zającąm wydulał uszy.

Ale potem... Kanały i zieleń  
I rakiet na stary księżyc.  
Przyjacielu, przepraszam za nagłe  
Wycofanie ciebie z poezji.

Może później, za kilka lat  
Staniesz znów w poetyckiej arenie  
Gdy zdobycia twojego fakt  
Wierszem będę dyktował na ziemię

## Kartka trzecia

ZYGMUNTOWI

Gwiazdy  
Zamienili się w gwiazdki  
Zawieszane nad orkiestrą,  
U sufitu.  
Jednakowe jak rytm,  
Jak dźwięki z wykrcanych blach,  
Banalne, jak kwiaty z papieru.  
Zagubieni wśród pijących usł,  
Wśród pijących oczu,  
Pijących rąk  
Zamieraliśmy ze strachu przed s i o w e m,  
Mówiliś  
„Cóż dla mnie świat,  
Oto jestem jak ptak przelotny  
Na granicy nocy i dnia.”  
I mówiś  
„Cóż znaczy noc  
Gdy dzień będzie skałą Tarpejską.”  
Migotały fałszywie w szkło  
Słowa Twoje,  
Uśmiechy moje.

Wiem, nielato jest w sobie niecie  
Złą wiadomość, lękiem palącą.  
Ale łatwiej jej w sobie strzeć  
Jak pochodnię wiecznie płonącą.

Łatwiej wejść pod fałszywy gwiazdozbiór,  
Szara rozpacz na stół przemycić  
Tak, by każda żarówka u ścian  
Była, woskiem kaplącą, gromnicą

Aniżeli odrzucić, odrzucić!!!..

Nie,  
Nie powiedziałem tego  
W ciągu godzin dźwięczących kieliskami.  
Obydwa ulegliśmy s i o w u  
Zaklętemu w łacińskie formułki,  
Słowu  
Pachnącemu eterem.

Świt nas witał  
Mokry  
I blade.

## Kartka czwarta

Tam, gdzie płacząca wierzba,  
Na północnej stronie, pod murem,  
Wśród zieleni zapuszczonej, ścieżka  
Świeci płonącym sznurem.

Pochylony, chybotałym ognikiem  
Dopelniam brakujące ogniwo.  
Na północnej stronie, zamiast słońca  
Pierwszy śnieg — potłuczone szkliwo.

W zwiłgotniały kwadrat zieleni  
Nie potfażę wpisać Twojej twarzy.  
Rozmazuje się plomien świeczki  
Odpywając zamglonym obrazem.

Cóż jej powiem, tej, która przyszła  
Po raz pierwszy, przynosząc kwiaty.  
Matko moja, ziemio i trawo  
Wydzielona skąpym kwadratem.

Cóż powiedzieć o Twoich dłoniach,  
Których nie zna, nie pozna nigdy.  
Tylko lata, które minęły  
Składam w zwyczajne liczby.

Na cmentarzu płacząca wierzba  
Szumi liśćmi, wiatrem strwożona.  
Z ogrodnikiem, o kwiatkach dla matki,  
Mojej matki, rozmawia żona.

## Kartka piąta

Wiek dobił do mety. Węgiel zamienia atom.  
Pieni się w szklanych próbkach ludzka, zgęszczona myśl.

Ostatnia tajemna zasłona spada z odwiecznych zaświatów,  
Jak mocnym wiatrem zdmuchnięty zwiędły, jesienny liść.

Ważą się losy śmierci w białych laboratoriach,  
Epoka zamknięta w retortach nowy wyznacza bieg.  
Na nasze, współczesne konto, zapisze córa Historia  
Dzień, w którym wirus jak żołnierz poległ przed nami legi.

Nieśliśmy pieśni nad sobą grzmiące i puste zarazem,  
Zbyt często życia i śmierci zastępowała nam pieśń.  
Trzeba dać ciszę ludziom zgarblonym nad światła obrazem.  
Chwała ludziom nauki, zwyciężającym śmierć.

## Kartka szósta

ZYGMUNTOWI

Nauczyłeś się samotność.  
Opłatała cię pajęczyna myśli  
Gęstą  
I nieprzejrzystą.  
Nauczyłeś się niewiary.  
Przechodziłeś i odchodziłeś  
Bez słowa.  
Mówię do ciebie,  
Ukrytego przed naszym wzrokiem,  
Uciekającego przed naszą dłonią —  
Jesteśmy.

## Kartka siódma

Postrzępionymi mgłami,  
Wiatrem na deszczu moknącym,  
Rozmoczonymi drogami  
Idzie,  
Liście czerwone niesie...  
Odeszła jesień.

Październik — Listopad 1955

## Niepotrzebne drzewo

Różnie u nas cała dżungla „lip”. Jest to stwierdzenie jednego z profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, wypowiedziane na konferencji poświęconej „pracy opiekuna i pracy z opiekunem”. Wydaje mi się, że sformułowanie to padło nieprzypadkowo przy takim właśnie temacie. I chyba dodać do niego można (choć nie takie były intencje wspomnianego mówcy), że w tej dżungli wcale nienajmniejszym drzewem jest właśnie funkcja opiekunów grup studenckich.

Zakres działania opiekunów grup i lat został określony na wspomnianej konferencji przez głównego referenta prorektora Kokoszyńskiego — Lutmanow. Obejmuje on przede wszystkim opiekę nad procesem dydaktycznym, przebiegającym na uczelni. To, wysunięte na czoło, zadanie opiekuna jest pozornie bardzo odpowiedzialne i poważne. Nasuwa się jednak kilka wątpliwości. Przecież organizacja procesów dydaktycznych i czuwanie nad nimi to zadanie władz uczelni, rektora, dziekanów, wreszcie — w wyższym zakresie — kierowników katedr. A więc opiekun jeszcze jako trzeci czy czwarty organizator tego procesu? Chyba nie. Wydaje się, że takim zadaniem nie można obciążać opiekunów (najczęściej przecież młodszych pracowników naukowych), a nawet nie ma potrzeby.

W praktyce sprowadza się to do interwencji, że „wykład za trudny”, że „zły rozkład godzin” itp. Chyba może to z równym powodzeniem zrobić starsza grupa, czy też zespółski mąż zaufania. Nie chcę tu rzucać inwektyw, ale nasuwa się podejrzenie, iż ta funkcja opiekuna wynika z przekonania, że studenci są zbyt nieśmiały i niewyrobieni, aby mogli sami dostrzec i zaprotestować przeciwko ewentualnym niedomoganiom procesu dydaktycznego.

Punkt drugi z zakresu pracy opiekuna — to pobudzanie młodzieży do własnej pracy umysłowej i udzielanie wskazówek co do należytego jej zorganizowania. Ten punkt w obowiązkach opiekuna wydaje mi się nie tylko w pełni niewykonalny, ale nawet w niektórych wypadkach szkodliwy. Pobudzanie młodzieży do własnej pracy umysłowej, do samodzielności myślenia — to przecież zadanie całej wyższej uczelni, zadanie pierwszoplanowe dla każdego pracownika naukowego. Każde zajęcie, każdy wykład, ćwiczenie, seminarium powinno pobudzać do własnej pracy umysłowej, uczyć jej, rozbudzać zainteresowanie. Jeśli proces dydaktyczny nie spełnia tego zadania — trudno wymagać, by instytucja opiekunów kompensowała jego brak.

Niestety, często jeszcze wiele zajęć programowych ma charakter szkolarski, ale troska o właściwy, intelektualny poziom nauczania — to przecież troska całej uczelni, a przede wszystkim kierowników katedr i rad wydziałowych. Oczywiście powinien do tego dążyć i opiekun grupy, ale jako asystent prowadzący konkretne zajęcia.

Nie można również zapominać, że istnieją na wszystkich uczelniach koła naukowe, a na wielu — Studenckie Towarzystwa Naukowe, których zadaniem jest pobudzanie i rozwijanie konkretnych zainteresowań studentów oraz uczenie samodzielnej pracy naukowej.

Praktycznie więc praca opiekuna sprowadza się do kontrolowania przestrzegania dyscypliny studiów (lub w wypadkach, gdy opiekun

jest bardziej liberalny lub nieprzekonany do celowości dyscypliny — do pomagania w jej omijaniu) i do drobnych interwencji w sprawie „okienek w programie”, zaopatrzenia bibliotek, organizowania dodatkowych repetytoriów itp. — a więc w gruncie rzeczy nie do wyrabiania samodzielności u studentów — a odwrotnie, do nie zawsze celowego „ułatwiania życia”.

Prócz tego formalnie istniejący obowiązek opiekuna „pobudzanie młodzieży do własnej pracy umysłowej” usprawiedliwia nieraz groźno nauczające, które takiej pracy nie prowadzi.

Punkt trzeci obowiązków opiekuna to troska o sprawy bytowe młodzieży. Ten zakres obowiązków ma charakter czysto interwencyjny, gdyż poza tym opiekun nie ma żadnych innych możliwości wpływania na warunki pracy dziekana i administracji uczelni, interwencji tych jest stosunkowo niewiele. Prócz tego studenci mają własną organizację o charakterze zawodowym — ZSP, której jednym z naczelnych zadań jest troska o właściwe wykorzystanie pomocy państwa przeznaczanej dla studentów. Ostatnio na II Zjeździe ZSP tow. Minister Rapacki podkreślił znaczenie tej organizacji w walce o poprawę warunków bytowych studentów (patrz art. „Nie dla Was bez Was” PO PROSTU Nr 41) i wydaje się, że może ona z pełnym powodzeniem i o wiele szerszej spełniać to zadanie niż opiekunowie grup, przy czym powierzenie organizacji społecznej samych studentów obowiązku dbania o warunki bytowe ma poważne walory wychowawcze.

Zadaniem o charakterze wybitnie wychowawczym jest rozbudzanie zamiłowań kulturalnych u studentów. Chodzi tu przede wszystkim o sprawy higieny i kultury osobistej, zamiłowania estetyczne itp. Identyfikacja zadania estetycznego przed ZSP, również ZMP nie rezygnuje z tej dziedziny pracy wychowawczej. Rola opiekuna sprowadza się w tym wypadku do roli „matkowania” i usuwania przeszkód natury organizacyjnej. Wydaje się, że pracownik naukowy nie ma potrzeby — przy istnieniu na uczelni innych instancji o tych samych zadaniach — rozbienia ani jednego, ani drugiego.

Dla ścisłości trzeba stwierdzić, że wymieniono na konferencji jeszcze jedno zadanie opiekunów — wyrabianie właściwego stosunku do przyszłego zawodu. Jest to jednak — podobnie jak i zadania poprzednie — obowiązek całej uczelni i wszystkich organizacji działających na jej terenie.

Zastanawiając się zarówno nad obowiązkami opiekunów grup, wymienionymi w czasie konferencji, jak nad tymi, które oni praktycznie podejmują, nie można znaleźć ani jednej czynności, która by nie była spełniana za kogoś, która by nie wchodziła w zakres zadań innych czynników, istniejących i działających na terenie wyższej uczelni. Nasuwa się tutaj pytanie — dlaczego więc istnieje ta dwutorowość?

Funkcja opiekuna grupy kilka lat temu miała umocnić i polepszyć pracę wychowawczą uczelni. Miała więc ona sens wtedy, gdy istniały jeszcze nie rozbite teorie, że pracownicy naukowcy powinni uczyć, a wychowanie to zadanie jakichś innych czynników, przede wszystkim ZMP. Obecnie już nikt takich poglądów nie głosi, a ogromna większość profesorów zgadza się, że ich zadaniem jest również wychowywać. Oczywiście od zgody w teorii do

praktyki jest dość daleko, ale wydaje się, że jedną z przeszkód do wcielania teorii w życie jest właśnie istniejąca instytucja opiekunów grup.

W Wyższej Szkole Rolniczej w Olstynie spotkaliśmy się np. z takim zdaniem: pracownicy naukowci prowadzą pracę wychowawczą poprzez opiekunów grup i lat, o co więc macie do nas pretensję? A jednocześnie na tej samej uczelni wielu studentów nie wiedziało nawet kto jest opiekunem ich grup. Jest zjawiskiem b. częstym, że brak pracy wychowawczej ze strony pracowników naukowych jest usprawiedliwiany i zasłaniany faktem istnienia opiekunów.

Prorektor Kokoszyński — Lutmanowa powoływała się na swego opiekuna z lat studenckich, prof. Twardowskiego, mówiąc, że stworzył on wokół siebie szkołę, bo był opiekunem każdego ze swoich studentów. Wydaje mi się jednak, że stworzenie takiej szkoły „ludzi zgrupowanych dla badania prawdy” może nastąpić tylko wówczas, jeśli pracownicy naukowci uniwersytetów prowadzą rzeczywiście badawczą pracę naukową, jeśli ich kontakt ze studentem powstaje na bazie wspólnego szukania prawdy, wychowania i przygotowywania sobie zastępów, a nie na bazie interwencji w sprawie repetytoriów, okienek w wykładach, czy braku żarówek w salach wykładowych. Fakt, że takie interwencje są nieraz konieczne, świadczy nie o potrzebie istnienia opiekunów grup, a o konieczności usprawnienia pracy dziekanatów i administracji uczelni.

Istnienie instytucji opiekunów grup nie wpływa również dodatnio na rozwój naukowy samych studentów, gdyż jest jednym z elementów niepotrzebnego wyarczania młodzieży w samodzielnym rozwiązywaniu trudności, w samodzielnym wysileniu, jest jednym z elementów „analekualnej atmosfery panującej na wielu naszych uczelniach. Sama potrzeba powoływania instytucji, która by zajmowała się specjalnie wychowywaniem studentów, pobudzaniem ich zainteresowań naukowych i troską o warunki życia, świadczy, że władze uczelni zajmują się tymi zagadnieniami niedostatecznie, że istnieje widocznie jakiś błąd w obecnym systemie studiów. Wyjściem z tej sytuacji nie jest w żadnym wypadku instytucja opiekunów, gdyż zasłania ona tylko i maskuje istnienie poważnych braków, a tym samym utrudnia ich przezwyciężenie.

W artykule tym zajmowaliśmy się sprawami opiekunów grup ogólnie. Nie wyklucza to oczywiście faktu, że gdzieś tam istnieją opiekunowie, którzy poważnie pomogli młodzieży, którzy w procesie przygotowywania fachowców dla naszej gospodarki i kultury odegrali wybitnie pozytywną rolę. Co więcej, wobec przyrodoznania na i rok młodzieży w wieku 16 — 18 lat, być może, że jest celowe zachowanie funkcji opiekunów na latach pierwszych, gdzie studenci muszą stworzyć dopiero kolektywy i wciągnąć się w nowy, zupełnie dotychczas obcy im system studiów. Trudno jednak znaleźć jest przekonujące argumenty za utrzymaniem tej funkcji na latach starszych. Tym bardziej, że praca wykładowców opiekunów — to w rzeczywistości fikcja, „lipa”, która przesłania tylko właściwe osiągnięcia i niedomogi obecnego systemu studiów.

\*) Konferencja rektorów, dziekanów i młodszych pracowników naukowych, która odbyła się we Wrocławiu w dn. 17 i 18 listopada 1955 roku.

## Dyskusja czy bełkot...

(Dokończenie ze str. 1)

stwo treści, wypowiedzianej nowoczesnym językiem plastycznym, językiem wykształconym na doświadczeniach malarstwa Picassa, Legera, Matissa, Guttusa, Siqueirosa, Rivery — słowem całego „wojującego” malarstwa.

Korzenie tego malarstwa tkwią w impresjonizmie, w pierwszym, odkrywczym i rewolucyjnym okresie impresjonizmu francuskiego, który był realizmem swojej epoki, realizmem drugiej połowy XIX w. na terenie francuskim.

Formalne zdobycie impresjonizmu: rozbiście jednolicie dotychczas widzianego koloru przedmiotu na cały szereg kolorów współzależnych, stworzenie nowego widzenia materii, widzenia stosunków i zależności barw jest u nas na ogół znane. Mniej znane są natomiast motory tych docieków warsztatowych. „Zerwanie z Paryżem uprzywilejowanych i bogaczy, wejście w lud, wejście w środowisko jego pracy codziennej i krajoobrazu, jaki go otacza — to był czyn solidarności klasowej, to była świadoma postawa artysty wobec odbywających się wielkich starć klasowych”. Potwierdzeniem tej postawy jest twórczość Millet'a, Courbet'a, barbizoczyków, Monet'a, Manet'a i Pissara.

„Wiemy o ich nastawieniach demokratycznych i ludowych, o związkach z rewolucją 1848 i z Komuną Paryską (Courbet) a nawet o przekonaniach socjalistycznych (Monet i Pissaro).

Ale już następne pokolenie impresjonistów francuskich: Renoir, Villard, Bonnard służyło twórczością swoją innym zgoła celom. „O-

brazy ich zamiast rzeczywistości ludu francuskiego, wyrażają rzeczywistość mieszczańską narastającego kapitalizmu, dają pogodny zafałszowany obraz świata, w którym nie ma walk klasowych, przystrojonego w cały przepych postępowej, dopiero co osiągniętej kolorystyki impresjonistycznej. Tak z narzędzia poznawczego, z realizmu jednej epoki staje się impresjonizm środkiem zafałszowania oblicza epoki następnej. Gdyż, należy to zrozumieć, nie ma jednego niezmiennego realizmu, lecz istnieje prawo rozwoju dialektycznego. Realizm uległ przekształceniu na formalizm. Kolor, który był środkiem poznania jednej rzeczywistości — przeniesiony w inną, staje się celem sam dla siebie”.

Władysław Strzemiński to drugie pokolenie impresjonistów francuskich nazywa „kolorystami”. Naszych postimpresjonistów czyli kapistów nazywamy również popularyznie kolorystami, ponieważ cały swój program ideowo-artystyczny oparli o doświadczenia Bonnard'a, Renoir'a i Villard'a i nie dociekali do zrozumienia materii i jej praw ale eksploatacja warsztatu trójcy kolorystów francuskich leży u podstaw ich założeń.

Komitet Paryski, od którego wywodzi się nazwa ugrupowania artystycznego — kapisci, został zawiązany przez uczniów Pankiewicza w r. 1924, natomiast impresjonizm w swoich dwóch fazach to lata 1870-90. Daty te przytaczam celowo, żeby unaoocnić, że nasi postimpresjoniści w twórczości swojej nie nawiązywali do najnowszych osiągnięć sztuki europejskiej bo w międzyczasie był już Cezan-

ne ze swoją barwną plamą, jako podstawowym elementem konstrukcji obrazu, powstały takie kierunki malarstwa jak fowizm (1905), kubizm (1907-10) i nadrealizm. Postimpresjonizm przyjął się i zakorzenił w Polsce kapitalistycznej. W atmosferze hasła „szukać dla sztuki” estetyzujące poszukiwania formalne naszych postimpresjonistów nie były groźne dla nikogo. W dobie ślepego zapatrzenia na Zachód i lekceważenia wszelkich usiłowań, które powstawały na własnym gruncie (formiści), kierunek malarstwa przywieziony z Francji — triumfował i czynił spustoszenia. Świadczą o tym najlepiej prace czołowych naszych formistów: Tytusa Czyżewskiego, Andrzeja i Zbigniewa Pronaszków, którzy ulegli postimpresjonizmowi i weszli na błędną drogę kolorystycznych kontemplacji. Wystarczy porównać dwa obrazy Tytusa Czyżewskiego wiszące obok siebie w Muzeum Łódzkim. Świadczy również o tym fakt, że do dziś dnia nie możemy się otrząsnąć z postimpresjonistycznych kryteriów estetycznych, które przeniknęły wszędzie. Smaczne zestawienie kolorystyczne ciągle jeszcze jest miernikiem wartości obrazu. Czas najwyższy zrozumieć, że zamknięty program poszukiwań doznaniowo-wzrokowych jest dla nas kulą u nogi, że eksploatawany do cna warsztat postimpresjonistów jest nieprzydatny dla naszych celów, że to wegetujące malarstwo nie może być żadną siłą napędową w tworzeniu nowych środków wypowiedzi plastycznej.

\*

Można się było spodziewać, że VI Wystawa Plastyczna okręgu

warszawskiego będzie jakąś kontynuacją Wystawy Młodych w Arsenale, może ugruntuje problemy nurtujące dzisiejsze malarstwo, a może nawet coś wyjaśni. W każdym razie zdawało się, że ton festiwalowej wypowiedzi będzie utrzymany. Ale „salon” warszawski nie spełnił tych nadziei. Dlaczego?

1. Tradycja wystaw ogólnopolskich i okręgowych jako jedynych okazji sprzedania płótna została dobrze przez minione lata ugruntowana i wystawa zamiast być przeglądem aktualnych poszukiwań plastycznych stała się ladą sklepową gdzie wyklada się towar na sprzedaż.

Ta tradycja powoduje, że część malarzy posyła na wystawę obrazy stare, spreparowane pod „popyt” kupujących, inna część w ogóle nie wystawia swoich prac.

2. Dotychczasowa praktyka organizacji wystaw wykazała, że nawet najbardziej obiektywne jury musi przyjąć jakieś przeciętne kryteria, które pozwolą na zredukowanie ogólnej liczby nadesłanych prac do możliwości lokalowych „Zachęty”. W rezultacie zawsze otrzymujemy pokaz nie dający obrazu istotnego oblicza współczesnego malarstwa. Jeżeli nawet na takiej wystawie znajda się prace, mówiące o jakichś tendencjach i poszukiwaniach — giną w powodzi spokojnej merkantylnej kontemplacji przynajmniej większości płócien wystawionych.

3. Organizatorzy VI Okręgowej Wystawy Plastycznej przyjęli

wszystkie wspomniane wyżej zasady dotychczasowej organizacji wystaw nie analizując głębiej sytuacji w naszej plastyce po „Wystawie Młodych”, a tym bardziej nie konfrontując jej z tendencjami plastycznymi w Europie. Chodząc po salach „Zachęty” odnosi się wrażenie, że procedura kwalifikowania prac na pokaz była taka: jest „odwili” — można poszerzyć wachlarz — i koniec.

A przecież Wystawa Okręgowa nawet z tymi obrazami, które na niej są, mogłaby być nareszcie wystawą problemową!

Można by tak zestawiać prace, żeby nie tylko pokazać widzowi ekлекtyczność jednych a odkrywczość drugich, ale żeby pojął cały bezsens naturalizmu i postimpresjonizmu oraz konieczność korzystania z warsztatu nowoczesnej sztuki dla wyrażenia nowych treści. Pokazać jak malarze rozumieją realizm i jakie w chwili obecnej zarysowują się drogi rozwoju naszej sztuki.

Rozmieszczenie prac na zasadzie akcentów kolorystycznych w każdej sali, zestawienie obok siebie obrazów na zasadzie współgrania kolorystycznego (nota bene wszystko w/g recept postimpresjonistycznych) i co najgorsze w/g kodeksu dobrego wychowania, by nie urazić znajomych i kolegów malarzy, doprowadziło właśnie do złego pokazania jedynie asortymentu towaru na sprzedaż.

W dyskusji na Ogólnopolskim Zjeździe po „Wystawie Młodych” padły stwierdzenia, że malarstwo powinno wyjść z ram, bo obraz sztalugowy przeżył się, przestał być li tylko ozdobą, a na pewno nie jest lokatą kapitału itp. Podnoszono też sprawę wystaw ogólnopolskich i okręgowych, krytykowano je i stwierdzano, że się przeżyły, że stara, niedydaktyczna i nieciekawa jest metoda zapoznawania społeczeństwa z osiągnięciami plastyków. Mówiono że twórcy, pragnący pokazać społeczeństwu próby własnych docieków malarzkich, szukają miejsca w kawiarniach i klubach. Młodzi malarze wiedzą, że malarstwo uczy patrzeć, że obraz jest skrótem plastycznego myślenia o rzeczywistości, że sztuka jest dla całego społeczeństwa. I dlatego dążą do malarstwa, które będzie towarzyszyło człowiekowi na każdym kroku — gdy idzie ulicą, gdy czeka na seans w kinie, gdy jest w domu i w warsztacie pracy. — Szukają możliwości wypowiedziania się nie tylko poprzez malarstwo sztalugowe. Ale nim je znajdują, proponują rozszerzenie możliwości kontaktów odbiorcy z obrazem. Robimy wystawy prac malarzkich w hallach teatralnych i kinowych, w kawiarniach i świetlicach dworcowych, a latem w parkach kultury i ogrodach. A sami sprawdzimy, że przewyższa kameralna sztuka postimpresjonistów. Nie wszyscy jeszcze przywykli do chodzenia na „salony”, nie wszyscy nawet odczuwają potrzebę sztuki, wielu wydaje się ona zbędnym luksusem, a przecież sztuka jest dla wszystkich, sztuka jest jak słońce.

MARIAN BOGUSZ

(dokonczenie ze str. 1)

społeczne zastosowania energii atomowej do przemysłu, a jeszcze trudniej zrozumieć cały sens kultury i dającej ery atomowej.

Wydaje się, że skutki rozwoju myśli naukowej i opartej na niej wyanalizowości technicznej przetrastają granice wyobraźni; drogi postępu naukowo - technicznego nie oświeca jasna, szczegółowo opracowana koncepcja przyszłej kultury i przyszłego człowieka.

Obecny postęp naukowo - techniczny jest zapewne światłaniem nowej ery, dotychczas jednak na dobroczynne światło rozumu mającego sterować rozwojem ludzkości, pada cień zbrojen atomowych.

Pofolgujmy trochę fantazji i wyobraźmy sobie rozmowę z Eskimosem na temat naszej cywilizacji współczesnej. W rozmowie tej Eskimos utozsamiałyby zapewne energię atomową z bóstwem; nie mogły pojąć, dlaczego dwa sąsiadujące ze sobą plemiona: burżuazja i proletariariat, obydwa zagrożone w swoim bycie przez rozwścieczone bóstwo, nie łączą się ze sobą dla wspólnego religijnego kultu, który by utrzymywał to bóstwo w zadowoleniu i w spokoju. Przeciwnie, plemiona te kłóca się ze sobą, drażniąc bóstwo coraz bardziej i, co wydawałoby mu się bardzo nierozsądne, walkę między sobą i wzajemną nienawiść uważają za cnotę.

Nie wątpię, że ta rozmowa z Eskimosem utwierdziłaby czytelnika w przekonaniu, jak bardzo pouczające jest obcowanie z ludźmi różnych historycznych epok, pod warunkiem, że wypowiadają swoje własne myśli, a nie starają się nam przypodobać, nieudolnie naśladowując ludzi naszej epoki.

Homo sapiens ze swojej natury jest skazany na zastanawianie się nad historyczną drogą, jaką przeszedł od kajaka, którym Eskimos wzbogacił kulturę powszechną, do transkontynentalnych linii lotniczych, od łuku i harpuna do bomby atomowej i wodorowej. Rozumienie tej drogi nabrało szczególnego znaczenia dla naszej epoki, w której człowiek dysponuje już potężnymi środkami kształtowania środowiska swego życia według własnej woli. Rozumienie to jest w poważnej mierze zależne od tego, czy potrafimy uwolnić się od megalomanii poszczególnych epok, pokoleń, klas czy innych grup społecznych, które swoją kolektywną mądrość uważają za alfę i omegę całej historii ludzkości. Trzeba się uwolnić od ciągnącego na naukach humanistycznych dziedzictwa intelektualnej dyktatury burżuazji, dziedzictwa, w którym, wobec olbrzymich zdobyczy nowoczesnej historii, a zwłaszcza historii epoki kapitalizmu, zawierano się lekceważenie okresu poprzedniego, przedkapitalistycznego, a nawet przedklasowego, bez porównania dłuższego, który dla uformowania się społeczeństwa i człowieka miał fundamentalne znaczenie.

#### ESKIMOSI IDA NA RATUNEK CYWILIZACJI ATOMOWEJ

Zaczęliśmy ten artykuł od budowy stacji atomowej na terenach osady eskimoskiej. Jakaż to cywilizacja wtrącała do kultury ludu eskimoskiego, którego tradycja nie zna zupełnie wojny? Cywilizacja nowoczesnej techniki, cywilizacja naukowego postępu, który zapowiada panowanie człowieka nad siłami przyrody, cywilizacja ludzkiego rozumu. W jakich to celach naukowca cywilizacja zakłócała spokój eskimoskiemu społeczeństwu? Przyszła z widmem wojny światowej, która prowadzona przy pomocy nowej broni opartej na zdobyczach nowoczesnej nauki i techniki zagrażała zniszczeniem samej sobie.

„Po raz pierwszy w swojej historii — mówił Bertrand Russel z powodu ostatniego Kongresu Pokoju w Helsinkach w 1955 r. — ludzkość stoi wobec następującej alternatywy: albo odrzuci wojnę, albo należy oczekiwać zniszczenia rasy ludzkiej... Ludzkość ma do wyboru albo pokój przez porozumienie się, albo pokój powszechnej śmierci“.

Na tę wizję filozofa odpowiada głos swoistego optymizmu, według którego wojna nie grozi, ponieważ obydwie strony będą się bały niszczycielskiej broni i ze strachu będą żyły w zgodzie. Artykuł o transkontynentalnej komunikacji lotniczej, drukowany w ostatnim numerze francuskiego popularno - naukowego miesięcznika „Science et Vie“ (listopad 1955) zaczyna się od zdania: „Niesłychana rywalizacja pomiędzy dwoma gigantami przemysłowymi naszej epoki — Stanami Zjednoczonymi A. P. i Związkiem Radzieckim — prowadzi do tego, że wojna na zawsze staje się niemożliwa. Jeżeli plany tych krajów się urzeczywistnią, to nowa broń będzie w tym stopniu i zakresie niszczycielska, że ewentualne kroki wojenne zostaną zakończzone, zanim się właściwie rozpoczną“. Według tej filozofii pokoju strach przed zniszczeniem narzuca rezygnację z wojny nawet tym sferom władców świata, które wiążąc siłami zniszczenia i są zainteresowane w wywoływaniu nowej wojny.

Piękny to obraz cywilizacji rozumu, która może uniknąć zniszczenia pod warunkiem, że ludzie pod wpływem wzajemnego strachu jednych przed drugimi nie użyją potężnej niszczycielskiej broni, jaką ich rozum wytworzył.

Czy rzeczywiście zbawiennej potęce strachu mamy zaufać? Czy nie innego nie zdoła uchronić świata od katastrofy wojny, której więz tak wymownie przedstawił nam filozof? Nie. Jest jeszcze inna siła zdolna do zapobiegnięcia katastrofie. Tą siłą są Eskimosi! Eskimosi? Tak. Eskimosi. Czy nie do eskimos-

kiego kompleksu uczuć społecznych i postaw moralnych odwołuje się światowy ruch pokoju? Ruch ten nie odwołuje się przecież ani do partii politycznych, ani do wyznań religijnych i kościołów, ani do związków zawodowych, ani do woli zwycięstwa jednej klasy nad inną, ani do antagonizmów pomiędzy narodami. Odwołuje się on do tych najbardziej elementarnych, a jednocześnie fundamentalnych uczuć społecznych i moralnych, które występują w sąsiedzkich pokojowych skupieniach rodzin, współdziałających ze sobą w utrzymaniu życia i ożywionych duchem wzajemnej życzliwości wspierającej życie ludzkie. To jest najszerza społeczna i moralna podstawa ruchu pokoju. To jest jednocześnie rdzeń eskimoskiego społeczeństwa. Ten rdzeń nie znika z rozwojem społeczeństwa, z różnicowaniem się i komplikowaniem jego struktury. Do tego eskimoskiego rdzenia wszelkiego społeczeństwa, do tego eskimoskiego modelu człowieka odwołuje się współczesny światowy ruch pokoju. Oczywiście Eskimos jest tu ogólną nazwą dla pewnej zasadniczej postaci społeczeństwa, która w różnych, mniej lub więcej zbliżonych do siebie odmianach ukształtowała się w społeczeństwie pierwotnym, utrzymuje się wraz z rodziną i sąsiedzkimi skupieniami rodzin we wszystkich następnych fazach rozwoju społecznego jako podstawowa komórka kształtowania się uczuć społecznych i postaw moralnych nowych istot ludzkich przychodzących na świat.

Ta podstawowa, pierwotna forma społeczeństwa, związana głównie z rodziną, ulega wprawdzie przekształceniom w warunkach społeczeństwa klasowego i w toku dziejów wchodzi w różne klasowe powiązania, zachowuje jednak fundamentalną wagę we wszystkich epokach historii. Dzięki niej nowonarodzone dzieci stawały się ludźmi w ustroju niewolnictwa i feudalizmu i również dzięki niej nowonarodzone dzieci stają się ludźmi w kapitalizmie i socjalizmie. Z tą pierwotną formą społeczeństwa wiążą się także postawy społeczno - moralne jak prawdomówność i potępienie kłamstwa, wierność danemu słowu, sprawiedliwość, przyjacielskość wobec współtowarzyszy życia i pracy i życzliwość wobec wszelkiej żywej istoty. To są te fundamentalne postawy moralne, na których strażą każdy naród stawia swoich nauczycieli, gdyż gdziekolwiek one zostają zagrożone, podważane zostają fundamenty moralnej kultury społeczeństwa.

Wskazując na tę podstawę światowego ruchu pokoju, nie należy zagadnienia pojmować w ten sposób, że wśród wyżej zorganizowanych sił i ruchów społecznych i politycznych naszej epoki ruch pokoju nie ma poważnego oparcia. Przeciwnie, wiadomo jak silne oparcie ma on w światowych ruchach robotniczych. Problem jest jednak inny. Polega on na tym, że dla utrzymania pokoju, zagrożonego przez śmiertelny konflikt klasowy naszej epoki (w której stanęły przeciwko sobie do rostrzyszczającej walki dwa wrogie obozy: burżuazja i proletariariat, kapitalizm i komunizm), nieodzowna okazuje się mobilizacja uczuć społecznych i postaw moralnych, które nie są zaangażowane bezpośrednio w walce klasowej i które są bardziej elementarne, bardziej pierwotne i bardziej powszechne niż (historycznie późniejsze i wtórne) wezły solidarności klasowej lub czeluści nienawiści politycznych. Stąd też wśród laureatów pokojowych nagród stalinowskich obok Fryderyka Joliot-Curie, mamy chińskiego poetę Kuo Mo-żo, Murzyną — śpiewaka Paul Robesona, dziekana katedry Canterbury Hewlett Johnsa i wielu innych wybitnych postaci o najbardziej różnych poglądach religijnych, społecznych i politycznych.

#### ZAGADNIENIE PUBLICZNEJ OPINII MORALNEJ. ROLA PUBLICYSTYKI NAUKOWEJ

Mówiąc o ruchu pokoju, poruszamy zasadnicze zagadnienie współczesnej epoki — zagadnienie moralnej opinii świata. Dwa równoległe procesy zbliżyły do siebie najbardziej odległe zakątki świata. Jednym z tych procesów jest ruch wyzwolenia społecznego klasy robotniczej w obrębie poszczególnych krajów oraz wyzwolenie społeczne ludów oraz kolonialnych i zależnych. To stwarza nową podstawę społeczną zbliżenia się różnych narodów całego świata. Drugi proces, który ułatwia zbliżenie, to postępujący szybko rozwój techniki komunikacyjnej, przewyżniającej odległości przestrzenne i czasowe.

Świat staje się jeden. Światowy ruch pokoju jest wyrazem tego procesu pod względem społeczno - moralnym. Ludzkość w swoim rozwoju weszła w tę historyczną fazę, w której nie może się już obejść bez światowej opinii publicznej w różnych sprawach. Nie może się również obejść bez światowej opinii moralnej. Tematem obrad fizyków atomowych, którzy się zebrali w tym roku w Genewie dla dyskusji nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej, były losy całego świata. Radzono nad energią, której użycie na zło lub dobro ludzkości zdecydować o jej losach. Ale radzono w sytuacji, w której świat nie ma jeszcze instytucji, która, decydując w tych sprawach, miałaby światowy autorytet moralny.

Powojenny światowy ruch pokoju rozwinął się z poruszenia moralnej opinii świata przeciwko nie tylko samym zbrodniom wojennym, lecz także przeciwko ruchowi fa-

łając się z pogardą i nienawiścią idei demokracji, będącej wyrazem ogólnoludzkiej wspólnoty kulturalnej i moralnej, swoją wolę zwycięstwa i panowania uczynił dla siebie jedynym prawem moralnym. Moralna opinia świata spowodowała osądzenie przwódców hitleryzmu jako zbrodniarzy przeciwko ludzkości. Nie stałoby się tak zapewne, gdyby sami politycy o tym decydowali. O wyroku trybunału w Norymberdze premier Churchill pisze z ironią w swoich pamiętnikach, że przywódcy hitlerzcy zostali skazani na śmierć, ponieważ przegrali wojnę. „Zasady moralne cywilizacji nowoczesnej — czytamy — wydały się nakazywać, aby kierownicy narodu zwyciężonego w wojnie byli skazywani na śmierć przez zwycięzców“. Te ironiczne słowa o moralnych zasadach cywilizacji nowoczesnej wyszły spod pióra rosgoryczzonego męża stanu imperium brytyjskiego, któremu nie udało się przekonać Ameryki o tym, aby po zwycięstwie nad Hitlerem, wspólnie uderzono na Związek Radziecki.

Znamienne jest, że w światowym ruchu pokoju wyrazicielem opinii stały się nie rządy różnych krajów i nie ich polityczne autorytety, lecz autorytety intelektualne, kulturalne i moralne.

Problem dochodzenia do głosu moralnej opinii ludzkości w obrębie społecznego świata, w którym ścierają się różne grupowe interesy ekonomiczne i polityczne, przeciwnie i wrogie, nie jest prosty. Nawet w mniejszej skali narodu oraz mniejszych zbiorowości problem ten nie został jeszcze rozwiązany pomyślnie.

Przy największej nawet samodzielności myślowej czytelnika w nowoczesnym środowisku życia, nieodzowna stała się ciągła pomoc naukowego specjalisty. Współczesny

#### ZAGADNIENIA MORALNE KULTURY — NAUKA, LITERATURA I SZTUKA

W zagadnieniu moralnej opinii spotykają się różne dziedziny kultury: religia, nauka, literatura i sztuka. Zagadnienie jest zbyt obszerne i złożone, aby można je tutaj wszechstronnie omówić. Wspomnieliśmy już o aspekcie moralnym nauki i autorytetu uczonego. Nie można tego zagadnienia pominąć, gdyż wysuwa się ono na czoło w związku z rosnącym znaczeniem nauk przyrodniczych dla materialnych i technicznych podstaw przyszłej cywilizacji. Tym bardziej uderzająca jest niewspółmierność mała rola przyrodoznawstwa w kształtowaniu się nowej moralności odpowiadającej nowej cywilizacji technicznej.

Osiągnięcia nauk przyrodniczych otworzyły perspektywę ogromnego powiększenia władzy człowieka nad siłami przyrody. Ale przyrodoznawstwo nie wiele jest pomocne w określaniu celów, jakim ta władza ma służyć. Współczesna epoka wymaga skutecznie działających instytucji międzynarodowych dysponujących potęgą nauki w interesie całej ludzkości. Tymczasem ONZ jest chyba mniej skuteczną i ciesz się mniejszą powagą moralną niż fajka pokoju wśród Indian.

Data uchwalenia powszechnej Deklaracji Praw Człowieka przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 10 grudnia 1948 r. należy do kroniki tej instytucji, a nie do wielkich rocznic ludzkości. Dzień 10 grudnia jako „Dzień Praw Człowieka“ przypominała nasza prasa w artykułach wskazujących trudności realizacji wspomnianej uchwały. Dlaczego z takim trudem przychodzi międzynarodowe zabezpieczenie człowiekowi jego elementarnego

Spoza tej dziedziny: Kopernik, Leonardo da Vinci, Avicenna, Piotr Curie. Z wielkich nazwisk przyrodoznawstwa współczesnego tylko Piotr Curie, z nauk społecznych tylko Monteskiusz.

Piotr Curie zmarł w 1906 r. Z powodu jego śmierci Henryk Poincare pisał o nim, że „dał nam olśniewający przykład, jak wzniosłe poczucie obowiązku może narodzić się z czystej i prostej miłości prawdy“. A oto słowa Pawła Langevina: „Wyzwolony zupełnie z dawnych przesądów, namiętnie kochający rozum i jasność, pelen natchnienia — Piotr Curie dał przykład tego, co osiągnąć może w dobroci i pięknie moralnym, w jasnym i prostym umyśle — niezłomna odwaga i ścisłość myśli, która odrzuca to, czego nie pojmuje, i każe żyć w zgodzie ze swoim marzeniem“\*).

We wspomnieniach o Piotrze Curie nie tylko podkreślano zgodnie pierwiastek ludzkiej dobroci i piękna moralnego w jego wielkiej postaci, lecz także na przykładzie tego genialnego umysłu pokazano istotne znaczenie, jakie prawdziwa nauka wynikająca z jasności i ścisłości myślenia posiada nie tylko dla umysłowej, lecz również dla moralnej kultury społeczeństwa. Trudno być rzetelnym w zawitych sprawach ludzkich, gdy zawodzi jasność ich rozumienia.

Wobec wskazanych tu walorów wielkich postaci nauki, jak zrozumieć, że w przytoczonym gronie wielkich postaci kultury przeważają przedstawiciele literatury i sztuki. Jest to niewątpliwie uzasadnione przez to, że bezpośrednim przedmiotem literatury pięknej i sztuki jest sam człowiek w problemach jego osobistego życia w stosunku do środowiska, z którym jest osobiste związane. Literatura piękna, a także w pewnej mierze inne działy sztuki, operuje materiałem podstawowym i powszechnych uczuć i postaw ludzkich mających swoje źródło w pierwotnych formach rodzinnego kręgu stosunków międzyludzkich, tych, które są wspólne zarówno człowiekowi współczesnemu, jak i Eskimosowi. Poezja, literatura mówiona jest istotnym składnikiem kultury ludów pierwotnych. Występuje to w książce Jean Malaurie'a o Eskimosach oraz w jego osobnym artykule p.t. „Eskimos poeta“.

Trzeba również podkreślić, że jedna z zasadniczych funkcji społeczno - kulturalnych literatury pięknej — poezji, dramatu, powieści — polega na tym, że prawdę życia ludzkiego wydobywa z różnych zakątków świata i z różnych zakamarków społeczeństwa, przybliżając się w ten sposób do upowszechnienia świadomości jedności ludzkości. Te funkcje pełniła wielka twórczość poetycka i powieściowa XIX w., która wbrew klasowym podziałom epoki kapitalizmu wydobywała prawdę ludzkiego życia, i dawała wyraz głosowi sumienia.

Dlatego też wkład różnych krajów i ludów do literatury światowej nie pozostaje w prostym związku z ich rolą w świecie pod względem ekonomicznym, politycznym czy naukowym.

Tegoroczna nagroda literacka Nobla uzyskał islandzki pisarz nazwiskiem Halldor Laxness za utwory powieściowe ogłoszone p.t. Salka V al k a. Dorobek literacki Laxnessa obejmuje również książkę Station atomique (1948), protestującą przeciwko temu, aby mała ojczyzna autora zamieniona została w amerykańską stację atomową. Halldor Laxness, tegoroczny laureat Nobla i jednocześnie laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju (1952) należy do Światowej Rady Pokoju.

#### ŹRÓDŁA I PODSTAWY MORALNOŚCI OGÓLNOLUDZKIEJ. IDEA BRATERTWA LUDZI. OBOWIĄZKI I PRAWA CZŁOWIEKA

Trybunał Międzynarodowy, który sądził zbrodniarzy wojennych, wychodził z założenia, że jednostka ludzka odpowiedzialna jest za swoje postępowanie nie tylko wobec mniejszych grup społecznych, których jest członkiem, lecz także wobec całej ludzkości.

Ludzkość jako całość i jednostka przestała być, jak widziimy, przedmiotem zainteresowania wyłącznie teologów i filozofów, lecz znajduje wyraz w masowym ruchu obejmującym kraje całego świata. Jest to niewątpliwie nowa historyczna faza samowiedzy ludzkości. Pociąganie jednostki do odpowiedzialności wobec ludzkości za naruszanie moralnych norm ogólnoludzkich w pewnym sensie nie jest zjawiskiem nowym. Nowa jest tylko forma tego zjawiska. W tradycjach ludzkości tkwi głęboko moralna idea braterstwa wszystkich ludzi, a karanie zbrodni zabójstwa zawiera w sobie odpowiedzialność człowieka nie tylko za przekroczenie przepisu prawnego, lecz także za naruszenie elementarnej, ogólnoludzkiej normy moralnej niezabijania człowieka.

Braterstwo ludzi jako idea moralna sięga początkami odległych dziejów, a poprzez tradycje religijne, obyczaje, literaturę i sztukę różnych narodów weszło do moralnego dziedzictwa ogólnoludzkiej kultury.

Nie zaprzeczając temu, że idea braterstwa występuje w dawnych moralnych traćjach chrześcijaństwa i innych religii. Nie ma natomiast zgodności poglądów co do tego, jak dalece ta idea przyczyniła się do rzeczywistego umoralnienia człowieka. Stwierdzamy, że idea braterstwa występuje w nim przedstawiciele literatury pięknej i sztuki.

Wobec upowszechniania przez Kłóciół nie tylko nie potrafiła zapobiec klasowemu uciskowi, lecz przeciwnie, włączona w system wierzeń o zbawieniu duszy i o królestwie niebieskim, paraliżowała wśród klas uciskanych ich wolę wyzwolenia społecznego własnymi siłami.

Jest również niewątpliwe, że idea braterstwa ludzkiego może się zbliżyć do swojej pełnej realizacji w drodze zniesienia klasowej niesprawiedliwości ustroju kapitalistycznego. W tej chwili zostawiamy jednak na boku zagadnienie zgodności norm moralnych, uważanych za obowiązujące, z rzeczywistymi motywami postępowania ludzi w różnych konkretnych sytuacjach. Jednostka ludzka jako członek rodziny, klasy, narodu jest niewątpliwie bliżej, konkretniej, bardziej bezpośrednio związana ze swoją rodziną i grupą zawodową, z klasą i narodem, niż ludzkością. Klasowa sytuacja jednostki i rodziny najsilniej wpływa na kształtowanie się rzeczywistych motywów działania ludzkiego. Mimo to, na obecnym poziomie rozwoju społeczeństwa i kultury, wydaje się niemożliwe oddzielenie moralności człowieka od świadomości człowieczeństwa czyli przynależenia do rodzaju ludzkiego.

W symposium p. t. Human Rights (Prawa człowieka) wydanym przez UNESCO w 1949 r. ogłoszonym został list Ghandiego do redaktorów tonu, w którym Ghandi odpowiadał na pytania o jego poglądy na prawa człowieka. Według Ghandiego praw jednostki człowieka jako jednostki nie można określić inaczej, jak tylko mając na uwadze całą ludzkość, której jednostka jest członkiem i wobec której ma obowiązki. W tym poglądzie zawiera się istota zagadnienia moralności współczesnego człowieka. Punktem wyjścia musi być ludzkość jako całość, a nie jednostka ludzka jako byt samoistny.

Wydaje się, że jesteśmy na właściwej drodze w pojmowaniu zagadnienia moralności. Nie ma problemu moralności człowieka poza zbiorowością. Jest to problem stosunku jednostki do zbiorowości oraz jednostek między sobą w ramach większej całości społecznej. Jest to pierwotnie i zasadniczo sprawa obowiązków jednostki wobec zbiorowości, a wtórnie i drugorzędnie — praw jednostki. Zasadniczym wyrazem moralnej postawy wobec życia jest poczucie, że życie jednostki należy do większej ogarniającej ją całości społeczno - moralnej, że musi być dla tej całości potrzebne, pożyteczne, zharmonizowane z nią. Jednocześnie współczesna moralność, która zasadniczo obowiązkowi człowieka wobec człowieka zatrzymuje na granicy grupy „swolch“ — rodziny, klasy czy narodu — a nie rozszerza ich na całą ludzkość, nie jest jeszcze moralnością ludzką w pełnym współczesnym rozumieniu.

W określaniu ogólnoludzkich pojęć i norm moralnych myśl religijna i filozoficzna wyprowadza faktyczne ukształtowanie się społecznej i moralnej „jedności ludzkości“. Pielegnowanie tych pojęć i norm w kulturze każdego narodu przez jego myśl etyczną i literaturę piękną świadczy o poziomie moralnym kultury narodowej. Ale na drodze realnego wcielania w życie tych pojęć i norm stoi klasowa struktura społeczeństwa. Dlatego w idei socjalizmu spotykają się wypielegnowane przez kulturę ludzką idee ogólnoludzkiej moralności ze społeczno-ekonomicznymi warunkami ich wcielania w życie.

Trzeba mieć świadomość tego, że największy szacunek dla ogólnoludzkich idei moralnych nie potrafi zmusić burżuazji do zmiany ustroju na rzecz moralnych idei ogólnoludzkich kosztem własnych interesów. Zmusić może ją do tego zorganizowany ruch polityczny najpotężniejszej klasy nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego — klasy robotniczej. Od jej zwycięstwa w walce z burżuazją zależy stworzenie warunków urzeczywistnienia ogólnoludzkiej moralności.

Polityczne zwycięstwo klasy robotniczej nad burżuazją, umożliwiające przebudowę ustroju ekonomicznego, toruje drogę realnemu rozszerzeniu obowiązujących ogólnoludzkich norm moralnych z kręgu rodzinnego na wielkie zbiorowości narodowe i na stosunki między narodami. Nie oznacza to jednak, że w socjalizmie traci swoje znaczenie rodzina i skupienia ludzi będące bezpośrednim środowiskiem ich pracy i życia. Wprost przeciwnie, ostatecznym zwycięstwie socjalizmu decyduje klimat moralny rodziny oraz bezpośrednich środowisk pracy i codziennego życia człowieka, środowisk, w których wychowują się i kształcą młode pokolenia. Socjalistyczna moralność ukształtuje p r a k t y k a pracy i życia ludzkiego w tych lokalnych środowiskach, w których praca i kultura, obowiązek społeczny i satysfakcja osobista, bodziec materialny i moralny, trud i urok życia, rzeczywistość i marzenie spotykają się ze sobą realnie i konkretnie, wzajemnie się uzupełniając i kontrolując w warunkach takiego współżycia ludzkiego, w którym poczucie społecznej odpowiedzialności jednostki jest wzbogaceniem jej osobistej wolności. Tak rozumiane lokalne „środowisko“ pracy i życia, z natury rzeczy, musi tkwić głęboko w kulturze narodowej i ogólnoludzkiej.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

\*) Patrz Maria Skłodowska-Curie. Piotr Curie, Warszawa 1953, s. 102.

# O rozmnażaniu i mieszczaniu

Szczecin posiada największy przyrost naturalny w Europie. Stanowi to słuszny powód naszej dumy i zostało zaakcentowane w krótkometrażowym filmie polskim „Mój Szczecin”. I mnie dumna rozpięła, kiedy oglądałem ten film. Oczywiście — duma z przyrostu naturalnego, a nie z filmu.

W filmie tym widzimy i kotka i pieska i rozlane mleczko i młodą parę, która zawiera znajomość dzięki pieskowi i rozlanemu mleku. Żeby zaś widzieć nie odniósł szkodliwego wrażenia jakoby w naszym kraju, istniała wolna miłość, pokazano w filmie inną parę, która bierze ślub wystrójona, jakby żywcem wycięta z malomieszczykowej fotografii. Gdy narzeczeni mają wstąpić w progi — nie wiadomo, kościół, czy urząd stanu cywilnego — zostało to z dużym taktem przemilczane przez realizatorów, żeby nie wywołać konfliktów natury światopoglądowej — przebiega im drogę kotek. Nawet nie czarny; takie sobie szare kociątko. Cały odświętnie ubrany pochód zatrzymuje się przed kotkiem; jakaś dziewczynka zabiera go i w ten sposób zostaje zażegnany jedyny bodaj konflikt całej krótkometrażówki.

Jest jeszcze trzecia para, najmłodsza w filmie. Dzieciaki grają w serwo i kółeczko trafla... Nie zgadniecie w kogo... W dobrodusznego staruszka z tyśnią drzemiącego sobie na ławeczce w parku. Powieź pan, głupie, czy nie? — mówi pewien bohater Dostojewskiego.

Stary to kawał: obrazek z kwiatami albo z krową podpisuje się: „Kwiaty z PGR-u”, „Dojna krowa z PGR-u”... Podobny chwyt zastosowano i w filmie. Kończy się on sceną z kawateczkiem robotnika, ale za to z całym statkiem opuszczającym stocznię.

W tym filmie widzimy — o dziwo — dobry technikolor, miejscami udane zdjęcia filmowe, dowcipną konferansjerkę Kazimierza Rudzkiego. Nie mam także nic przeciwko grze aktorów. Ale wszystko razem jest niepokojące właśnie dlatego, że w jedenastym roku Polski Ludowej nauczyliśmy się jako tako rzemiosła filmowego — może nawet dobrego rzemiosła filmowego — ale to wszystko oparte jest na kiczowatym scenariuszu. Grafomania najjaskrawiej wylazi właśnie na luksusowym papierze.

Czy po to walczyło się tyle lat z produkcyjniakami, z lakiernictwem, schematyzmem, z „jasnymi łanami” — żeby teraz wracać do mieszczańskiego kiczu ze starszym panem i słodkim kotkiem? Czyż tylko, tyle dostrzegli realizatorzy dokumentalnego filmu w naszym praplastowskim mieście, Szczecinie, odzyskujemy i nowozagospodarowanym? Doprawdy, kocha na szczecińskim targu ma w ciągu godziny więcej konfliktów życiowych, niż ich pokazali twórcy filmu.

Naturalnie nie domagam się konieczności konfliktu klasowego, lub jakiegosż zasadniczego konfliktu moralnego. Chodzi jednak o pewien ciężar życia, który można pokazać nawet w jednym zdjęciu gazetyowym. Gdybym był mieszkańcem

Szczecina, czułbym się dotknięty tym filmem o pretensjonalnym tytule „Mój Szczecin”, który pokazuje miasto w kolorach idyllicznego, jarmarcznego oleodrudu.

Bądźmy okrutni, ale sprawiedliwi. Nie obarczajmy całą winą twórcy filmu, Lesiewicza (znanego ze współautorstwa niezłego filmu „Gwiadzy muszą płać”), żatowo jest miszyszy młodego reżysera i odsądzić go od czci i wary. Nie potrafił obiektywnie ocenić swojego własnego pomysłu do scenariusza. Zdarza się... Ale przecież mamy w wytwórni sporo mądrych głów. Dziwny również wydaje się fakt, że Kazimierzowi Rudzkiemu, staremu wyjadaczowi sceny, chciało się współpracować przy takim filmie. Rozsyłał po nim trochę intelektualnego dowcipu, dzięki któremu film w ogóle mógł się ukazać na ekranie. Dziwi mnie, że nie stanął okoniem.

Czyż warto wypowiadać aż tyle słów potępienia dla jednej marniej krótkometrażówki? Widz nie wybiera krótkometrażówek; idzie na film tytułowy, resztę dostaje jako dodatek za darmo. Obejrzy... Miejscami nawet całkiem miłe, ale potem, gdy człek zestawia obraz ze znaną mu codziennością, szlag go trafia. Naturalnie nie każdego widza. Nie brak u nas ludzi z gustami mieszczańskimi.

Piszę tyle o tym filmie dlatego, że przestraszył mnie wylażający z niego mieszczanin. Mieszczanin jest to, według mnie, człowiek, którego główna funkcja sprowadza się do zamieszkiwania w mieście, a więc: kupuje gazetę, odprowadza pieszka, poznaje piękną panią, całuje się z nią wieczorami; po południu starszy mieszczanin drzemie w parku, etc. Mieszczanin jest kosmopolitycznymiędymiasutowy; robi to samo we wszystkich miastach i dlatego też ten film poza paroma zdjęciami nie ma nic wspólnego ze Szczecinem i mógłby działać w każdym innym mieście — na wschodzie czy na zachodzie.

Oglądając taki film wyprodukowany w społeczeństwie kapitalistycznym powiedzieliśmyby, że realizatorzy chcą zalakierować konflikt epoki. Czyżby oczą zamydlić realizatorów „Mojego Szczecina” — w Polsce Ludowej?

Sztuka feudalizmu potrzebowała pięciuset lat, by po bujnym okresie przygód blednych rycerzy stworzyć sielankę. Sztuka mieszczańska potrzebowała na to stu lat. Sztuka socjalistyczna — jakby można było wnosić z tego filmu — tylko dziesięć lat. Wystarczyło dziesięciu lat, by mieć szczęście za pazuchą, by niczego nie pragnąć i do niczego nie dążyć.

I oto po dziesięciu latach mamy starszego pana, drzemiącego w parku, jego dzieci wybierające się na ślub, jego unuczków grających w serwo; mamy pieszka, kotka i mleczko. Nie wiem, w jaki sposób ten starszy pan zdążył w ciągu zaledwie dziesięciu lat obrosnąć w dzieci i unuczków z dodatkami. Nawet na szczecińskie tempo — to trochę za szybko... A może ten mieszczanin jest jeszcze przedwojenny? Jak sądzicie?

## KORESPONDENCJA

## Studenci Wyższej Szkoły Muzycznej

## czekają na decyzję

Nie trzeba koniecznie kłamać. Wystarczy powiedział tylko część prawdy i... człowiek wybrnie z sytuacji. Gdy jeden z gości zagranicznych odwiedzających licznie Warszawskie Konserwatorium Muzyczne, spytał ze zdziwieniem: „Czy w tym małym pałacyku odbywają się wszystkie wykłady i lekcje?” — otrzymał odpowiedź — „Ależ nie, tylko ich część”.

### MY DOPOWIEMY RESZTĘ

Jedna trzecia zajęć odbywa się faktycznie w pałacyku przy Al. Stalina. Pozostałe dwie trzecie ze względu na brak pomieszczeń i instrumentów musiały być przeniesione do prywatnych mieszkań profesorów.

W szkole zaś odbywa się wieczna gonitwa. Jeden czeka z utęsknieniem na to, żeby drugi nareszcie skończył. Profesor zamyka drzwi na klucz przed intruzami z zewnątrz. Ludzie są już zmęczeni wiecznym pospiechem lub czekaniem. W br. trzech wybitnych profesorów zrezygnowało z pracy w Wyższej Szkole Muzycznej ze względu na niemożliwość wprost warunków nauki. W związku z tym na Wydziale Studenci centralnej uczelni muzycznej w Polsce nie mogą się spotkać nigdy razem we własnej szkole. Zadna z sal nie mieści 270 osób.

Mała odcyna wykorzystana została dla potrzeb rektoratu. W podziemiach — sztab młodzieży: Zarząd Uczelniany ZMP i KU ZSP. Małe wilgotne pokójki. Zebrańki odbywają się w sekretariacie uczelni po godzinach pracy.

### A JAK Z MIESZKANIAM?

— „Najlepiej sami zobaczycie” — mówi mi student WSM i prowadzi na Górnośląską. Pokoje są 10-osobowe. W każdym — pianino lub fortepian, ale tylko jeden instrument jest w stanie możliwie dobrym. Pozostałe są rozstrojone, z zapadającymi się klawiszami.

Gdy jeden w pokoju ćwiczy, pozostali dziesięciu nie ma co tam właściwie robić. Ale potrzeb jest mało, wynalazku... Idąc korytarzem Domu Studenckiego na Górnośląskiej można usłyszeć tony skrzypiec i innych instrumentów, dołączające z łaźienki i ubikacji. Niestety, fortepian tam się nie zmieści...

Tak daleko idąca „racjonalizacja” nie wpływa jednak dodatnio ani na zdrowie studentów, ani na wyniki ich nauki.

Część młodzieży, przeważnie dziewczęta, mieszkają na Krakowskim Przedmieściu w Dziekanie. Warunki mieszkaniowe są o wiele lepsze. Brak natomiast wystarczającej ilości instrumentów do ćwiczeń.

### CZEGO BRAK JESZCZE?

Orkiestry i dobrze wyposażone biblioteki. Orkiestra w Wyższej Szkole Muzycznej jest elementarną pomocą naukową. Co mają robić studenci Wydziału Dyrygentury?

Czy można się dziwić, że niektórzy z nich są już zniechęceni? — „Objammy się po prostu. Nie ma na czym ćwiczyć, nie ma czym dyrygować. Co z nas będzie?” — mówi jeden ze studentów.

Potrzeba dobrej biblioteki muzycznej w szkole tego właśnie typu, nie podlega dyskusji. Ministerstwo Kultury i Sztuki, które mogłoby nawet kosztami własnych, ogromnych zbiorów, zasilić bibliotekę warszawskiej Wyższej Szkoły Muzycznej, odpowiada dotąd uparcie — „Po co wam powiększać bibliotekę. I tak w tych warunkach nie znajdziecie dla niej miejsca”.

Biblioteka powinna być na pewno. I trzeba dla niej znaleźć miejsce.

### PERSPEKTYWY I WNIOSKI

Na II Zjeździe ZSP przedstawił Min. Kultury i Sztuki mówił o wspaniałych perspektywach Wyższej Szkoły Muzycznej. Nowy gmach z ogromną salą koncertową oraz Dom Studencki mieścić się będzie przy ul. Smolnej.

Termin wykonania r. 1960, może nawet później.

Jak do tego czasu rozwiązać sprawę Wyższej Szkoły Muzycznej? Ministerstwo — wg słów tow. Min. Piotrowskiego o tym myśli. Najprawdopodobniej zostanie oddany do użytku gmach zastępczy — Pałac Krasiańskich. Jest on w tej chwili w remoncie. Chodziłoby o to, żeby Pałac Krasiańskich został na pewno oddany Wyższej Szkole Muzycznej i to możliwie jak najszybciej.

Na gmach ten czeka także Muzeum Etnograficzne. Należałoby też zatroszczyć się o to, aby budynek przeznaczony nawet tymczasowo (ztn. na 5-7 lat) dla Wyższej Szkoły Muzycznej był w miarę możliwości przystosowany do specyfiki tej szkoły. Trzeba to uwzględnić już w trakcie przeprowadzanych obecnie remontów.

Czy niektórych z sal Pałacu Krasiańskich wymagających tylko wykończenia, nie można by oddać do użytku wcześniej, niż jak mówił przedstawiciel Ministerstwa dopiero w końcu 1958 r?

Poprawa warunków mieszkaniowych i ćwiczeniowych studentów WSM pozostaje nadal sprawą do załatwienia.

Zycie Osiedla Akademickiego na Jelonkach urozmaica pobyt (na stałe) części Ze społa Pleśni i Tańca, „Warszawa”. Czy nie mogłoby tam mieszkać i dużo wniesić nowego studentów Wyższej Szkoły Muzycznej?

Oddzielne domki charakterystyczne dla Osiedla nadają się doskonale dla dwiczynnych artystów, młodych śpiewaków i muzyków. Zależy to od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Zwiększenie ilości instrumentów dla szkoły, stworzenie orkiestry jako niezbędnego elementu dla wykształcenia naprawdę dobrych muzyków i dyrygentów, skompletowanie pełnej biblioteki odpowiadającej potrzebom centralnego w Polsce Konserwatorium Muzycznego (to już tylko zależy od Ministerstwa Kultury i Sztuki), — to sprawy również pilne i ważne — prawie tak samo jak lokal i pomieszczenia do ćwiczeń.

JADWIGA BUSKA

## Jeszcze raz w sprawie chuliganów z Kłickiego

W czerwcu ubiegłego roku pisałem na łamach PO PROSTU o niebываłym skandalu, jaki miał miejsce na ul. Kłickiego w Warszawie. Pod bokiem milicji czterech studentów, mieszkających Akademika na Kłickiego, zostało zmasakrowanych przez chuliganów. Artykuł swój zakończyłem następującym cytatem z pisma Rady Mieszkańców Domu Studenta do KC ZPZR:

„Prosimy władze odpowiedzialne za zapewnienie nam zagwarantowanego przez Konstytucję PRL spokoju i bezpieczeństwa o energiczne zajęcie się sprawą należytego ukarania winnych...”

Domagamy się, aby sprawa była rozpatrywana w czasie roku akademickiego na sesji pokazowej w teatrze świetlicy (mowa tu o świetlicy, która była widownią tych zajęć — AB) a o terminie byli powiadomieni studenci uczelni warszawskich i mieszkańcy Grochowa”.

Przylączając się do powyższej próby Redakcja skierowała ją specjalnym przypiskiem do mojego artykułu na adres: Ministera Spraw Wewnętrznych, Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego PRL.

Wydawać by się mogło, iż po przekazaniu całej sprawy tak wysokim

## WASYL ARDAMACKI

(11)



— Rzeczywiście, racja! — Okajemow stuknął się palcem w czoło. — Na śmierć zapominał! Mrugnął w stronę Kudriawcewa, włączył pierwszy bieg, wóz ruszył. Jakiemu to carowi wieziez tron? — krzyknął w ślad za nim Kudriawcew.

— Operowemu!

Kudriawcew poszedł w kierunku skrzyżowania. Z daleka już widział tego, który miał go zastąpić.

„A może ten gość był z „bezpieki”? Niepokoił się Okajemow jadąc do teatru. — Czyżby nie miał nie lepszego do roboty, tylko obserwować ciężarówkę? Tak, to zupełnie możliwe, że on był od nich. No, to trzeba sobie zanotować: jak jakieś dwadzieścia pięć — dwadzieścia siedem lat, blondyn, przysmykany się śmieje. Zapamiętam. Wszystko się przyda. A nawet jeżeli od nich, nie ma w tym nic dziwnego — przecież ochraniają instytucję”.

Kiedy na podwórku teatru robotnicy zdejmowali z auta carski tron, znowu przypomniał sobie człowieka o szarych oczach.

„Zauważył tron, a ja jak duren odpowiedziałem, że to tron operowego cara... Strzeżem janie...” O tym samym myślał z trwogą jadąc tramwajem do hotelu. „Może, póki nie jest za późno, przeniesię się do innej pracy? Nie, nie trzeba. Teatr — to idealne miejsce. I nie trzeba się lękać każdego spotkanego człowieka. Jedno jest tylko pewne: należy działać ostrożnie...”

3.

Mijał dzień za dniem i żaden z nich nie przynosił nic nowego. Wróg nie dawał znać o sobie. Jednak Potapow bez przerwy myślał o nim. Nawet w nocy. Często budził go myśl o jakimś błędzie nie do wybaczenia, który przez chwilę popełnił, a wtedy nie mógł już zasnąć.

W przeciagu tych dni nocował w mieście Zona, rozumiejąc, że lepiej zostawić go samego, przyjeżdżała wtedy, kiedy był w Urzędzie, przygotowywała kolację i śniadanie, zostawiała nie mówiące kartki i wracała za miasto. Potapow wychodził do pracy bardzo wcześnie. Szedł powoli i z niezadowolonym patrzył na beztroską biegającą ulicą. — Jak ci ludzie mogą żartować, śmiać się, mówić o głupstwach, kiedy wśród nich ukręca się wróg?...

Pułkownik Astangow, chociaż zupełnie nie to nie uwzględnił zniżył w jeszcze większym napięciu. Potapow zajmował się tylko sprawami swojej grupy, podczas gdy pułkownik bez przerwy kierował działaniami pięciu grup operacyjnych: odpowiadał za ochronę pięciu najważniejszych obiektów.

Będąc starym czelstą, pułkownik Astangow wyrobił w sobie opowanie, które pozwalało mu przy największym nawet napięciu spokojnie — „jalizować sytuację. Informacje udzielone przez szofera z Centrali Zaopatrzenia Gospodarstw Miejskich potwierdziły wersję Potapowa i to znacznie uprościło poszukiwania. Pułkownik był zupełnie przekonany, że teraz Okajemow ukręca w w jakimś kolektynie radzieckich ludzi. Ale najbardziej niepokoiło go przypuszczenie, że Okajemow zrezygnował z alaku na Instytut i obrzeżał sobie nowy cel. Dlatego, całkowicie polegając na Potapowie w sprawach dotyczących Instytutu, Astangow uporeczywie siedił pracę pozostałych grup operacyjnych.

Kudriawcew szczegółowo meldował Potapowowi o wynikach obserwacji Instytutu i gwałtowno go trochę, że major słucha go nieuważnie. Przecież ostаточно nie z jego winy obserwacje na razie nie dawały rezultatów. — Jasne. Dalej! — przynajął Potapow. — A w ogóle, to poplątała numer domu. — Jasne. Jasne. Jasne co? — Naprawdę Instytutu zatrzymała się ciężarówka. Ślinik nawalił. — O której? — nerwowo zapytał major. — Pozwólcie na tym skończyć — Kudriawcew obraził się na dobre. — Pytam, o której godzinie zatrzymała się ciężarówka?

## KORESPONDENCJA

czynnikom, obecnie sprawiedliwość stała się zadostę i chuligani po pokazowej rozprawie sądowej już dawno siedzą za kratkami.

Tak jednak nie jest.

Byłem niedawno na rozprawie przeciwko chuliganom z Kłickiego w Sądzie Powiatowym dla Warszawy-Pragi. Mała sala w żaden sposób nie mogła pomieścić tłumnie przybyłej publiczności.

Sąd Powiatowy w ogóle jakoś dziwnie lekceważąc odniósł się do tego procesu. Pomijając już to, że warto było wziąć pod uwagę słuszne żądania studentów, by sprawa została rozpatrzona na sesji pokazowej sądu w świetlicy przy ul. Paca, należało chyba przeznaczyć na ten cel jakąś większą salę. Licznie przybyłymi na proces chuliganom taka lekcja pogładowa świetnie by zrobiła. A już w każdym razie „wypadało” chyba zawiadomić o terminie rozprawy pozostałych studentów, chcąc się pobawić, postręgniętych do sądu, a wśród nich głównych świadków oskarżenia oraz doprowadzić z wzięcia wszystkich oskarżonych chuliganów (4 z oskarżonych jest w areszcie, 6 ma odpowiednia z wolnej stopy). Sąd dla Warszawy-Pragi jednak tego nie uczynił, w wyniku czego rozprawa została odroczone.

## KORESPONDENCJA

Prawie z tych samych przyczyn została również odroczone rozprawa przeciwko dwóm milicjantom, którzy mają odpowiadać przed sądem za karygodne zachowanie się w czasie zajęcia na Kłickiego.

A chuliganom tylko w to graj. Uwaga! one i słusznie — że czas jest najlepszym lekarzem. Rany studentów już się prawie zabiżnily, obrażenia społeczeństwa zmalało, powoli kłaka rzecz „rozpylnia się po kościach”. Są do tego stopnia pewni siebie, że opuszczają salę rozpraw — studentom groziłi: „My wam jeszcze pokazemy”.

Aby jednak sprawa nie została rzezywiona, ja, myśli życzeń i nadziei chuliganow, odłożona ad calendas graecas jeszcze raz o tym piszę. Tym razem sądzę, że już nie ma sensu zamieszczanie na końcu apelu do odpowiednich instancji, które mogą wpłynąć na to, aby Sąd Powiatowy dla Warszawy-Pragi energicznie zajął się należytym ukaraniem chuliganów. Może zresztą powyższe uwagi trafią do przekonaną prezowski Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi?

ANDRZEJ BERKOWICZ

## Cześć „Eye”!

„zrobić Meksyk”. A oto jak się bawia: Tancerz obrażony na partnerkę, zakrywa twarz jej wianą spódnicą, ku ogólnej uciechy reszty publiczności. Drugi, cieżąc sprawdź czy partnerka odpowiada ich normom, chwytą ją za pierś, a następnie z pogardliwą miną odpycha i zostawia na środku sali. Inny znów niezadowolony z tego, że partnerka nie dość dobrze wygina się w tańcu, wypycha ją przez całą salę Warszawy-Pragi energicznie zajął się należytym ukaraniem chuliganów. Może zresztą powyższe uwagi trafią do przekonaną prezowski Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi?

Mocno podpiły gość to wspaniały obiekt do wstępnych czynności. Potrącony na środku sali szuka winowajcy rozglądając się po otoczeniu. Nagle okazują go „Eye” i zaczyna się przyjałeiska dyskusja. O czym rozmawiali trudno powiedzieć. Trzeba podkwaślić tylko to, że rozmowa toczyła się w przyjałeiskiej formie. W pewnym momencie delikwent dostaje cios z tyłu i w twarz. Zatacza się i ogłąda zdziwiony „Eeyyaaa”. Ale z czasem i takie rozrywki się znużają. Trzeba zabawić się z „drętwiakami”.

Można podpiły gość to wspaniały obiekt do wstępnych czynności. Potrącony na środku sali szuka winowajcy rozglądając się po otoczeniu. Nagle okazują go „Eye” i zaczyna się przyjałeiska dyskusja. O czym rozmawiali trudno powiedzieć. Trzeba podkwaślić tylko to, że rozmowa toczyła się w przyjałeiskiej formie. W pewnym momencie delikwent dostaje cios z tyłu i w twarz. Zatacza się i ogłąda zdziwiony „Eeyyaaa”. Ale z czasem i takie rozrywki się znużają. Trzeba zabawić się z „drętwiakami”.

Parę telefonów do komisarzów odniosło ten skutek, że zjawił się jeden milicjant, który stwierdził, że w braku pokuszkowanych i winnych (bo trudno było zauważyć kto był, nie może interwelować). Zabawą w dalszym ciągu rządził „Eye”. Orkiestra musiała grać co oni chcieli. Liczba ofiar wzrastała osłabając przy końcu cyklu około 20. W takiej przemieltej atmosferze zbliżał się koniec zabawy. Organo Mo jeszcze dwukrotnie alarmowane telefonami wkroczyły powtórnie na teren gmachu, ale opuściły zabawę upokojone, dodając przy potęgnianiu uwagi na temat niepotrzebności ich niepokojenia. Orkiestra skończyła grać. Sala opuszczała. Po normalnych scenach przed szatnią, grupki wychodziły się z gmachu i resztki poruchunków odbywały się w ciemnych uliczkach, ale jeszcze raz musiała wkroczyć milicja, aby obronić pobitego w ostatniej chwili porucznika WP.

Teraz postarajmy się ułożyć bilans tej zabawy. Ludzi około 500, w tym studentów około 50. Dochód w przybliżeniu 4000, pobitych około 20, z czego 15 procent nieprzytomnych około 15, niezadowolonych 100 proc. Liczby potłuczonych bułek nie ustalono. Do tego dochodzi ogromna praca sprzątarek nad przywróceniem do porządku najpiekniejszej w Toruniu, a największej na Uniwersytecie sali. Cieszyć się organizatorzy. I ja jestem waszego zdania. Co tam godziwa rozrywka dla studentów. Grunt to forsa. A więc cześć „Eye”, do zobaczenia na następnej zabawie.

B. WIEJECKI  
Toruń

Za okienkiem do dziewczyny podszedł starszy mężczyzna:

— Jesteście mechanikami? — W ogóle to jestem szoferem drugiej klasy — odpowiedział jakby niechętnie. — Ale ostatnio pracowałem jako mechanik. Spokojnie.

— No, może się jakoś dogadamy. Zatrudnimy jako szofera, pojeżdżicie ze dwa miesiące, a później — powinno zwolnić się miejsce. Damy wam pracę mechaniczną.

— Nie wykluwacie? — Czy może być o tym w ogóle mowa? — A miejsce w hotelu robotniczym? — Niech was już o to głowa nie boli.

...Wieczorem w zamieszkanym hotelu robotniczym dla pracowników Opery zjawił się nowy mieszkaniec, kierowca Sergiusz Michajłowicz Gudkow. Skierowanie i przydzielił na łóżko z powodu nieobecności kierownictwa, przyjął przewodniczący komisji sanitarno-bytowej Kola Borkow — terminator pracowni krawieckiej teatru. Rozgarnięty chłopak spojrział wpięer na papierkę, a potem na niego.

— Znaczą się, nowy szofer? — Złoter — potwierdził Okajemow. Borkow wskazał palcem na wolne łóżko.

— To będzie twoje miejsce. Możesz gospodarować... Przy pomocy Kola Borkowa zdobył brzytwę, wrzutek i zaczął doprowadzać do porządku swoją brodę. Kola stał za jego plecami i przyglądał się, jak się goili.

— Czyżbyś nie zgolił brody? — zdziwił się. — Broda zdobi mężczyźnę — oświadczył Okajemow. — Też... uśmiechnął się Kola z powątpieniem. — U nas na wsi na przykład... — Możebyś się zajął czymś innym — przerwał mu Okajemow.

Umył się, potem zrobiezał się szybko i położył. O ósmej rano nowy szofer musiał przystąpić do pracy.

Gmach Instytutu, którym kierował Wołski, Okajemow odnalazł jadąc ciężarówką w ślad za znanym mu już „ZIM-em” profesora.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Cień drzew na bulwarze zasłonił ulicę i zaczął po mału zasnawać mury Instytutu.

Pracownik aparatu bezpieczeństwa państwowego, Kudriawcew, który od rana obserwował wejście do Instytutu, raz po raz spoglądał na zegarek: niedługo powinni po zmienić. W przeciagu całego dnia nawet na minutę nie oderwał wzroku od wejścia.

Ot teraz, starsza kobieta z koszykiem z koszykiem wstąpiła się u drzwi Instytutu i długo patrzyła na numer domu. Kudriawcew już stoił obok i czyta wywieszoną na ścianę gazetę. Kobieta weszła do Instytutu, ale oto wraca, znów patrzy na numer domu i mrucząc coś pod nosem odchodzi w stronę placu. Kudriawcew idzie za nią. Na najbliższym rogu stoi niedbale ubrany młodzieniec, w sandałach założonych na bosę nogi. Kudriawcew zatrzymuje się przy nim: „Widzisz kobietę z koszykiem? Idź za nią!”. Chłopiec w sandałach idzie za kobietą, a Kudriawcew prędko wraca do Instytutu. Mniej więcej po godzinie podchodzi do niego chłopiec w sandałach: „Kobieta wstępowała do rejonowego biurowca opieki społecznej. Stara się o emeryturę. Popłatała numery domów i przez pomyłkę weszła do Instytutu”.

Znowu Kudriawcew snuje się wokół budynku...

Ciężarówka woząca dekoracje teatralne, już na skrzyżowaniu zaczęła szarpać, szczytać i strzelać ślinikiem, wyraźnie miała zamiar zatrzymać się. Nierównymi szarpnięciami przejechała przez przejście dla pieszych i przystanęła na brzegu bulwaru, naprzeciw Instytutu. W tej samej chwili Kudriawcew porzucił swoje miejsce na ławce wśród pianiek z dziećmi i przeszedł tu obok ciężarówki. Kierowca krzątał się przy niej, otwierał maskę ślinika, Kudriawcew pokazał milicjantowi legitymację i prosił go, żeby wyjaśnił, co się stało z samochodem.

Kiedy milicjant podszedł, Okajemow odwrócił przewód benzynowy i pilnie starał się go przedmuchać. Milicjant zasalutował i uprzejmie zapytał o powód zatrzymania się samochodu.

— Spróbowałbyś sam pojechać na takim wozie! — na całą ulicę krzyknął Okajemow. — Nie widzisz, czy ci? Przecież podający nawalił. Myślisz, że dla przyjemności polylkam benzynę?

— Nie awanturowaj się — spokojnie odpowiedział milicjant, — ale naprawiaj czym prędzej i odjeżdżaj. Tu nie wolno zatrzymywać się. Widzisz znak?

— Nie martw się, nie będę tu nocował — już trochę ciszej odpowiedział Okajemow, pochylając się nad ślinikiem.

Za chwilą do ciężarówki podszedł Kudriawcew. Uśmiechnął się mimo woli, widząc stojącą na wozie pozłacany carski tron.

Właśnie otworzył się przed Instytutu i potok wypłynął na ulicę. Okajemow zerknął na zegarek. „Tak, więc kończą pracę, jak wszędzie, o szóstej. Wyśmienicie. Ilu pracowników... Mniej — więcej stu... Nie, chyba więcej. No cóż, teraz można już jechać...”

Wylazł spod maski, obejrzał się; przed nim stał młody mężczyzna i z uśmiechem przyglądał się wysmarowanej maźlą fizonomii szofera. Okajemow drgnął.

— Nie bójcie się, ja nie z milicji... — Kudriawcewowi znużyło się już chodzić w milczeniu i chciał trochę pogadać z szoferem. — Nawalił?

— Już trzeci raz w ciągu dnia — Okajemow spłunął i z trzaskiem opuścił maskę. — Wiesz, że ja nie mogę przetrwać z kierownictwem. Każda jeździć i tyle... Włazi na siedzenie i nacinał starter, ale ślinik nie ruszył. — Cholera!

— Nie wyciążyście zapłonu — powiedział Kudriawcew.

Wydaje Zarząd Główny  
ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ.  
Red. nac. ELŻBIETA LASOTA.  
Kolegium redakcyjne:  
ANNA BRATKOWSKA (zast. red. nac.), STANISŁAW CHEŁSTOWSKI, BARBARA KALAMACKA, WIESŁAW SZYNDEL, RYSZARD TURSKI.  
Adres redakcji: W-wa, Wiejska 17.  
Telefony: redaktor nac. — 841-24, centrala — 832-91, 832-92, 832-93.  
Prenumerata: kwartałnie — 4.20 zł, półrocznie — 8.40, rocznie — 16.80.  
Nakładem RSW „Prasa”.  
Administracja: RSW „Prasa”, III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.  
Drukarnia: RSW „Prasa”, W-wa, ul. Marszałkowska 3-5.  
Zam. 2658 B-6-11999

(Ciąg dalszy nastąpi)

EDMUND GONCZARSKI

# DZISIEJSZE KLASY

Opowieść satyryczna

**J**uż od dłuższego czasu boczno się w fabryce na majstra Porzeczkę. Nazwisko jego wymawiano półgębkiem, z zażenowaniem, tak, jakby się mówiło o faciecie, który upiwszy się stanąłby sobie w środku dziedzińca fabrycznego i zaczął siusiać — i to w biały dzień, gdy ludzie wychodzą z pracy. Majster Porzeczek nigdy nie pił; a jednak w referatach, w których mówił zawsze starając się podać parę przykładów z życia — pozytywnych i negatywnych — majster Porzeczek figurował jako pierwszy z tych ostatnich. Źródłem wszystkiego było... kłapanie.

Owo dziwne kłapanie ustyszał po raz pierwszy ślusarz Kędziorek. Porzeczek właśnie stał przy frezarce, z ręką opartą o maszynę i dumal nad czymś. Kędziorek, który nie mógł sobie dać rady z naprawą tokarki, przyszedł naradzić się z majstrem. Porzeczek doprawdy nie był zobowiązany naprawiać tokarki innych oddziałów; miał dość kłopotów ze swoimi. Gdy Kędziorek, arapiąc się w głowę, uskarżał się na siupę tokarki — coś nagłe klapnęło. Był to dźwięk pośredni między kłapaniem a miażdżeniem. Ślusarz spojrzawszy zdziwiony na Porzeczkę, ale wyraz twarzy majstra się nie zmienił. Ciągnął więc swoje. Porzeczek patrzył na jego poruszające się usta, jak to czynią głuchoniemi, i nic nie odpowiedział. Kędziorek prawdopodobnie zapomniałby z czasem o dziwnym zachowaniu się majstra, ale sprawa wróciła nabrała rozgłosu.

W małej drewnianej budzie odbywała się narada pionu technicznego. Hałas fabryki słabiej tu dochodził. Akustyka w tym pomieszczeniu była taka, że gdy prelegent machał ręką, słychać było świst powietrza. I w tej ciszy...

Mówca, inżynier, przeszedł właśnie od działu obróbki, w którym pracował Porzeczek, do działu remontowego. Wtedy rozległo się kłapanie. Wszyscy obejrżeli się. Ale niesłusze heca się powtórzyła, gdy przy omawianiu pracy remontowni inżynier powiedział:

— Brygada remontowa majstra Porzeczki miała przestój: siedem i pół godziny. W zbrojowni — nawet dwadzieścia godzin.

Jedno kłapanie przypadło na sylabę „bry” słowa „brygada” a drugie na sylabę „zbro” słowa „zbrojownia”. Inżynier mówił szybko, tak że kłapanie nastąpiło niemal jedno po drugim. Zdawało się, że w tym poważnym gronie ludzi, którzy siedzieli oparłszy głowy na rękach, zasłuchani, rozważający poważne tematy produkcyjne — ktoś gra w salonową.

— Co tu uciąć tak klaszcze? — przerwał swą orację inżynier. Ludzie spojrzeli po sobie, część uśmiechnęła się z zażenowaniem, a sąsiad Porzeczki, technik Pokorski, powiedział:

BOGUSŁAW WOINAR

**Mysli**

**za pół darmo**

Jedyną różnicą, która łączy ludzi, jest różnica płci.

Zapałka łatwo płonie, lecz traci przy tym głowę.

Prawda jak zwykle leży po środku. Tylko gdzie jest środek?

Nawet nędzarz ma coś najcenniejszego.

Trzeba być bardzo inteligentnym, aby ukryć własną głupotę.

Ten się śmieje ostatni, kto najpóźniej zrozumiał dowcip.

— To w panu Porzecce coś tak klaszcze.

Zwróćcie uwagę na to wyrażenie: nie powiedział, że pan Porzeczek klaszcze, lecz że w panu Porzecce coś klaszcze. Ale najdziwniejsze było to, że gdy technik tylko wymówił „pa...”, znów rozległo się kłapanie.

Po naradzie wszyscy obstąpili Porzeczkę.

— Co w panu tak klaszcze, panie majster? Co panu jest? Czy pan to ma od wojny, czy też może żona przyprowadziła pana o coś takiego? Może pan sporządził sobie taki kłapiący aparacik i trzyma go w kieszeni?

— Nie. W majstrze klaszcze coś w okolicy głowy. Sam to widziałem — powiedział technik Pokorski.

Porzeczek obruszył się. — Jak to, widział pan?

— Przepraszam; chciałem powiedzieć, że słyszałem.

— Tak — to co innego — odrzekł spokojnie Porzeczek.

Gdy rozmowa zeszła na głowę majstra, wszystkim zrobiło się trochę nieprzyjemnie i rozeszli się. Tylko inżynier powiedział na odchodnym:

— Niech się pan leczy. Może to jakiś nowotwór, panie Porzeczek.

\*

Odtąd często zauważano, że wokół, albo, jak powiedział technik,



w panu Porzecce, coś kłapie. Wrócić potapano się, że kłapanie w majstrze Porzecce nie było przypadkowe. Kłapało zawsze wtedy, gdy zaczynało się mówić o sprawach, w których majster Porzeczek był osobliwie zainteresowany — i drugi raz (z dokładnością do jednej sylaby), gdy zaczynało mówić o innych obojętnych mu rzeczach.

— Sobek — mówiono — zuchwały sobek. Zrobił sobie wyłącznik. Egoista! Gdyby chociaż zachowywał się dyskretnie. A on tymczasem włącza się bezczelnie, na cały głos. Jak świat światem, nie było jeszcze głośniego sobaka.

W końcu, jak można się było spodziewać, wezwał go dyrektor fabryki:

— Panie Porzeczek, pan chyba się domyśla, dlaczego pana wzywam. — Dyrektor był wyraźnie zakłopotany i nie wiedział, jak poprowadzić tę rozmowę. Taki wypadek zdarzał mu się pierwszy raz w życiu. W zdenerwowaniu kręcił na biurku porcelanową popielniczkę. Nieszczęśliwy dla Porzeczki traf chciał, że popielniczka upadła na podłogę i stuknęła się. Dyrektor urwał strofowanie majstra w pół zdania: i powiedział z zalem:

— Taka śliczna popielniczka!

I wtedy znów w Porzecce coś kłapanęło.

Dyrektor wyszedł z siebie i rozmowa przybrała bardzo niemiłą dla wezwanego obrót. Dyrektor powiedział:

— Może pan sobie ostatecznie być sobikiem. Ale żeby się zachowywać tak wyzywająco... To jest, panie Porzeczek, diabli wiedzą, co takiego.

— Więc co nam robić, panie dyrektore, jak we mnie coś kłapie?

— A co ja, dyrektor fabryki guzików i sprzączek, jestem winien, że w panu kłapie? — I już łagodnie dodał: — Pan musi z tym zrobić porządek. Chyba pan rozumie — to fabryka. Robotnicy i tak gadają na majstrów. Napisać ktoś korespondencyjkę do gazety... W naszej fabryce jest sporo młodzieży; daje pan zły przykład, panie Porzeczek.

Na zebraniu ZMP dyskutant grzmiał:

— Jaki mają do nas stosunek starzy majstrzy? Przykładem może być obywatel majster Porzeczek, który zrobił sobie wyłącznik. Zapytuję: po co mu ten wyłącznik? Czy nie po

to, żeby nie słyszeć słusznej krytyki ze strony młodzieży? Czy nie po to, żeby wynieść się od uczenia młodych robotników? To jest wyzwanie sobkostwa, rzucone młodzieży w twarz.

Sekretarz POP, obecny na zebraniu, pomyślał: „Ma rację młodzież”. I zdecydował: „Trzeba zająć się Porzeczką i pomóc mu”.

Spotkał go w umywalni. Ale tym razem Porzeczek, puściwszy silny strumień wody na ręce, bronił się zajądło:

— Towarzyszu sekretarzu, czego wy wszyscy ode mnie chcecie? Zawsze byłem nietowarzyski i nie udzielałem się ludziom.

— Więc istnieję w was jednak ta potrzeba udzielania się, skoro kłapienie nie w sobie, a na zewnątrz. Dla mnie to jest oczywisty dowód, że wy się, towarzyszu, rozwijacie. Tylko trzeba pójść dalej.

Porzeczek uznał to za stosowny moment:

— Ja już dawno złożyłem podanie, towarzyszu sekretarzu, o przyjęcie do partii...

Sekretarz zmieszał się. Takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał. Nie chciał jednak odpalić Porzeczkę, więc powiedział:

— Widać rozwój. Dobrze jest, żeście przeszli od skrytka, zamkniętego w sobie sobkostwa, do otwartego, otwartego. Trzeba pójść na przód, towarzyszu. Bo widzicie, w



— Mam dla ciebie dobrą robotkę, tatusiu.

rys. Lech Załowski

Gdy wreszcie znalazł się przed obliczem Eustachego, młodzieńca z zalotnymi wąsikami, zajętego ostrzeżeniem brzytwy, wybuchnął:

— Pan nie jest żadnym czarno-księżnikiem, pan jest kanciarzem, panie Eustachy, chociaż pan mieszka na Muranowie.

— Kanciarzem! — Eustachy zatrzymał brzytwę.

— No tak. Nigdy pan reszty gościom nie wydaje. Myśli pan, że nie wiem.

Eustachy spokojnie odłożył brzytwę. — Pan życzy? Pan chyba względem tych kłapek był łaskaw się pofatygować?

Spokój Eustachego doprowadził gościa do pasji. — To nie kłapki. To kłapa na całej linii. To brakorobstwo najgorszego gatunku.

— Niech pan się nie kępuje — powiedział Eustachy. — Jestem przyzwyczajony. Pracuję w zakładach żywienia zbiorowego — dodał oficjalnym tonem.

— Po linii uspołecznionej może pan dawać gościom przypalone zupy i zepsute kotlety, ale po linii prywatnej inicjatywy mógłby pan być solidniejszy.

Eustachy przemówił do niego łagodnie:

— Złe działają? Cóż... Poprawimy.

— Panie Eustachy! — niemal błagalnym głosem powiedział Porzeczek. — Złe działają — to mało! Zrobiono ze mnie wroga klasowego!

— A pan co — chciałby być przyjacielem klasowym? To po co kazał pan sobie zrobić carodziejskie kłapki, co to ta cała heca? Nie rozumie.

— Czego pan tu nie rozumie? Jestem świadomy sobek, z robotników, ani wróg, ani przyjaciel klasowy. Niech pan sobie zapamięta.

— Zrobi się, zrobi się, szanowny panie. Zaraz sprawdzimy. „Kot szoraka — (rozległo się kłapanie) — pies miauczy, w ZOO słon wysiaduje żarówkę — (klapanie) — po 25, 40 i 100 watt”. „Powiadają, że w Polsce — (klapanie) — już będzie można...”. „Trzeba się strzec rudej — (klapanie) — z niebieskimi oczami”. „Ludzie dostają na skórze — (klapanie) — guzików od noszenia guzików z fabryki „Gagata”. „Zona majstra Porzeczki — (klapanie) — powiła czworaczki”.

— To kłamstwo! — wrzasnął Porzeczek.

— Może i kłamstwo. Ale świat nie działa! Słysz pan tylko to, co się pana tyczy. — Wziął Porzeczek pod brodę i kręcił jego głowę na wszystkie strony. — I nic nie widać! Doskonale. Większość kelnerów ma ode mnie takie kłapki i nikt nie narzeka.

— Ale na nich narzekają — powiedział Porzeczek. — Co tam kelnerzy. Udaje pan durnia. Czy pan nie słyszy, jak te kłapki kłapią? A inni też słyszą. I to mi psuje opinię.

Eustachy rozłożył ręce. — Mogę je usunąć.

— Nie, broń Boże! Dobrze mi z nimi. Ale żeby tak trochę ciszej. Wie pan, gdy jaka kobieta mówi ze mną, jak to one, szybko i przeszkakując z tematu na temat — to u mnie tak klaszcze, jak w teatrze. Ja już nie mówię o polityce, panie Eustachy; ale czy to normalne, żeby człowiek nie mógł sobie porozmawiać z kobietą?

Eustachy zabrał się do naprawy. Ugotował grzybową zupę, wrzucił kilka włosów, pomieszał kulawym widelcem, szeząc:

„Panie tego i tamtego. To nie ja, kolega. Tatarapek. Masz gulasz z mysich łapek. Proszę o usprawienie kłapek. Żeby nie skrzyppiały, żeby nie piszczały, żeby nie kłaskały...”

— I żeby nie kłapały — podpowiedział Porzeczek.

Pan Eustachy nie wypuścił gościa, aż się przekonał, że kłapki

działają bez zarzutu: szczególnie, bezgłośnie i niewidocznie.

\*

Porzeczek uczynił tylko pierwszy krok, a wyciągnięto do niego od razu pomocną dłoń — to znaczy z chwila, gdy w fabryce potapano się, że wokół majstra, lub, jak powiedział technik Pokorski, w majstrze Porzecce przestało kłapać. Dalsze dzieje majstra nastrajają jak najbardziej optymistycznie. Zauważono przełom, doceniono go, wreszcie mianowano majstra kierownikiem oddziału.

W referatach, które, jak wiadomo, muszą zawsze zawierać parę przykładów negatywnych i pozytywnych, majster Porzeczek figurował zawsze jako pierwszy z tych ostatnich. Wrócić na murze fabrycznym zjawiał się transparent, gdzie na czerwonym tle było napisane białymi literami: „Robotnicy i majstrzy! Bierście przykład z ob. Porzeczki!”

Najdłużej opierał się sekretarz POP, gdy stanęła sprawa przyjęcia Porzeczki do partii. Zgadzał się, że owszem, widak rozwój, że Porzeczek już nie kłapie...

— Ale właściwie — powiedział — trudno stwierdzić, jak to teraz jest u niego z istotą sobkostwa.

Jednak opór ten nie musiał być aż tak bardzo silny, skoro nazajutrz w Komitecie Miejskim nie omieszkał się pochwalić Porzeczek: — Mówicie, że w naszej fabryce ludzie nie rosną!...

Ostatnio robiłem wywiad z dyrektorem Centralnego Zarządu, Porzeczką. Był to wywiad trochę trudny. Dobierałem zdania, żeby być słyszalnym. Inny by się na pewno nie spostrzegł. Byłem przeważliwym, gdyż Porzeczką i jego kłapkami pochwalili się przede mną Eustachy. Spróbowałem raz wywrócić się z czymś — i mogę zapewnić czytelników, że Eustachy jest rzeczywiście świetnym specjalistą, a kłanki dyrektora CZ, Porzeczki, są szczelne i działają całkowicie bezgłośnie.

## Anegdota • Kurioza • Dowcipy

Znakomity malarz angielski Whistler był bardzo zarozumiały. Pewnego razu, jedna z jego wielbicielek powiedziała mu, że w czasie porannego spaceru podziwiała otoczoną lekką mgiełką pejzaż Tami-

z tylko dlatego, że przypomniał jej najpiękniejsze obrazy artysty.

Bardzo możliwe — odrzekł wtedy Whistler — pejzaż przybiera czasem moją manierę.

Henryk Heine tak kiedyś podziękował za dedykowaną mu książkę:

„Drogi Przyjacielu! W czasie czytania Twojej książki zasnąłem. Śniło mi się jednak, że ciągle ją czytałem. Wtedy ogarnęła mnie taka nuda, że się obudziłem...”

Po przedstawieniu tragedii Woltera, która nie zyskała sobie wielkiego powodzenia, książkę Pellerina skarżył się, że autor okradł go z wielu wierszy. Kiedy doniesiono o tym Wolterowi ten powiedział:

— Rozumiem teraz dlaczego moja sztuka padła...

W pewnym towarzystwie Wolter pochlebnie wyrażał się o szwajcarskim pisarzu Hallerze.

— To dziwne — odezwał się obecny przy tej rozmowie jeden z obywateli szwajcarskich — Haller mówi o panu coś zupełnie odwrotnego.

— Zapewne mylimy się obaj — odpowiedział Wolter.

Ludwik XIV pokazał znakomitemu znawcy poezji Boileau kilka swoich wierszy z prośbą o opinię.

— Wasza Królewska Mość — odpowiedział — wielki pisarz — jak zawsze jest bezkarny. Wasza Królewska Mość chciała napisać potworne bzdury i udało jej się to doskonale.

Twainowi nie zawsze dobrze się powodziło. Toteż zdarzało się, że odwiedzał go komornik. W czasie jednej z takich nieprzyjemnych wizyt Twain powiedział grzecznie:

— Niech pan będzie uprzejmy, mając miejsce. I po chwili dodał: — Bo

TADEUSZ POLANOWSKI

## Fraszki

Z albumu moralisty

Ygrek o niczem nie powie:

— To wprost nie mieści się w głowie! Każdą w niej zmieściłby opłię i z tegiej głowy on słybie.

X jest subtelny i czuły, Waha się, miewa skrupuły. Lecz długo w nich się nie grzebie — Gdy chce, przekona sam siebie.

Szczególny okaz w albumie (Casus ten wliczam w ciekawsze): Zet ślepy, głuchym być umie, Lecz wąż — ten służy mu zawsze.

N ma zastrzeżeń tajne konto, Których nie zgłasza, choćbyś pytał. Aż przyjdzie pora — wtedy on to Moralny właśnie ma kapital.

Błogosławieni, którzy wierzą W to, co im podać do wierzenia. Sceptykom biada i kacerzom, Choć czas potwierdzi ich wątplenia.

Grzesznikom nawróconym sława. Wszyscy im schlebiać, kadzić śpieszą. Lecz za to bardzo kiepska sprawa Z najwerniejszymi, gdy raz zgżeszą

W jakimś towarzystwie Wolter pochlebnie wyrażał się o szwajcarskim pisarzu Hallerze.

— To dziwne — odezwał się obecny przy tej rozmowie jeden z obywateli szwajcarskich — Haller mówi o panu coś zupełnie odwrotnego.

— Zapewne mylimy się obaj — odpowiedział Wolter.

Ludwik XIV pokazał znakomitemu znawcy poezji Boileau kilka swoich wierszy z prośbą o opinię.

— Wasza Królewska Mość — odpowiedział — wielki pisarz — jak zawsze jest bezkarny. Wasza Królewska Mość chciała napisać potworne bzdury i udało jej się to doskonale.

Twainowi nie zawsze dobrze się powodziło. Toteż zdarzało się, że odwiedzał go komornik. W czasie jednej z takich nieprzyjemnych wizyt Twain powiedział grzecznie:

— Niech pan będzie uprzejmy, mając miejsce. I po chwili dodał: — Bo

to jest jedyna rzecz jaką tu w ogóle może pan zająć...

Ilustrował J. Królikowski